NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 27 listopada 1909. Nr. 48.

Katastrofa pod Siankami.

(Treść na str. 2)



Nr. 48. „Nowości illustrowanych" zawiera: Oficerowie młodotureccy w Czechach. — Po wielkim procesie. — Katastrofa aeroplanu w Warszawie. — Kobieta-nurek. — Jubileusz zasłużonego pedagoga. — Król portugalski w podróży. — Muzykalni kolejarze. — Szkoła gospodarstwa domowego w Krakowie. — Strajk adeptów sztuki.

☛ Rewindykacya arcydzieł polskiej sztuki. ☚

Katastrofa pod Siankami.

(Do illustracyi tytułowej).

Straszny wypadek, jaki się zdarzył we środę ubiegłego tygodnia, t. j. 17 b. m. na linii kolejowej Sambor-Sianki, wzruszył umysłami wszystkich, a w pierwszym rzędzie licznej falangi urzędników i funkcyonaryuszy kolejowych, którym zawód i służba niejednokrotnie każe zaglądnąć w oczy śmierci. Niema bowiem służby tak odpowiedzialnej, a równocześnie tak niebezpiecznej, jak przy ruchu kolejowym, gdzie wszystko musi iść jak w zegarku, gdzie nikomu nie wolno niczego zapomnieć, gdyż w przeciwnym razie nietylko życie funkcyonaryuszy kolejowych, ale co więcej, życie jadącej publiczności narażone jest na poważne niebezpieczeństwo.

Jednym z pierwszorzędnych warunków bezpieczeństwa ruchu kolejowego jest należyta konserwacya toru i budowli natorowych, jak mostów, tunelów i t. p. Służbę tę spełniają inżynierowie, banmistrze i robotnicy torowi. Inżynier i banmistrz, to dwie instancye, na których ciąży cała odpowiedzialność za całość i bezpieczeństwo toru. Przy takiej właśnie służbie zginęli inżynier Eliasz Graubart z Turki i robotnik kolejowy Józef Wiadrowski, a ponadto dwóch banmistrzów i trzech robotników odniosło bądźto lżejsze, bądźto cięższe rany.

Wymienieni powyżej objeżdżali w dniu tym przydzieloną im przestrzeń i popołudniu wracali na drezynie w kierunku Sokolik. Na przedzie drezyny siedział inżynier Graubart, obok niego banmistrz Fr. Paziuk z Sianek. Pierwszy z nich był kierownikiem drezyny. O ile dotąd stwierdzono, nie posiadał on podobno dla swego wózka przepisanej przepustki, którą powinien był wystawić urzędnik ruchu w Siankach, przed wyjazdem drezyny z tej stacyi. To też jadąca z Sianek ku Sokolikom na drezynie partya nie wiedziała wcale, że z Sokolik wyszedł prawie równocześnie w stronę Sianek pociąg towarowy. Po dość znacznej pochyłości toru drezyna pędziła z szybkością 60 klm. na godzinę. To też personal pociągu, pchanego przez maszynę, spostrzegł pędzącą drezynę dopiero na 25 kroków, gdy nagle wyjechała z zakrętu. O zatrzymaniu pociągu nie mogło być mowy. W tej samej chwili drezyna uderzyła o pierwszy wóz. Zderzaki wozu towarowego pochwyciły inżyniera Graubarta, zanim tenże zdołał z drezyny wyskoczyć i rzuciły go gwałtownie na rozbitą drezynę, ranionego śmiertelnie.

Personal pociągu towarowego i prowadzący ma-

Rewindykacya arcydzieł polskiej sztuki:



1. Eleonora Portugalska.



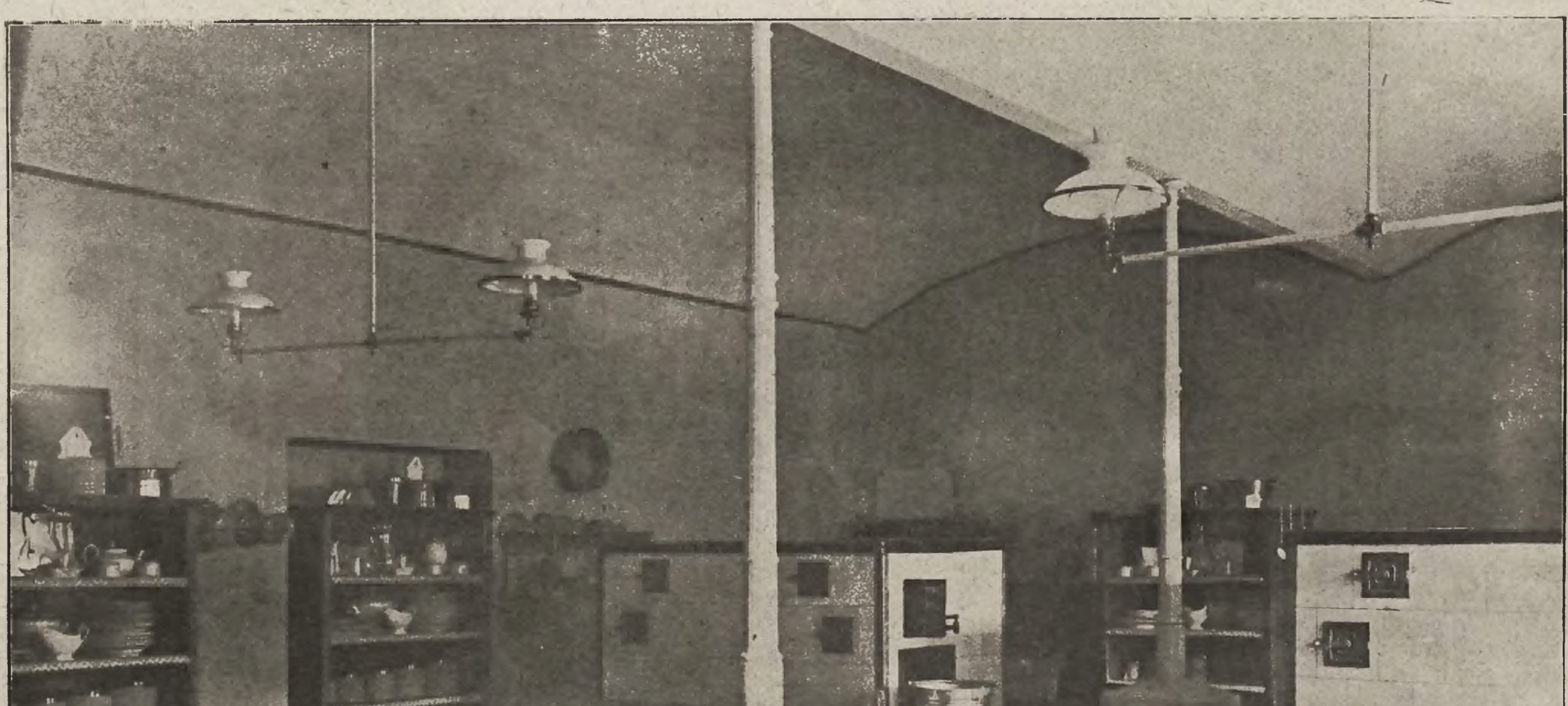
2. Marya Burgundzka.



3. Joanna Kastylijska.



4. Kunegunda, żona Albrechta II.



Szkoła gospodarstwa domowego: Wnętrze kuchni szkolnej.

szynę urzędnik Rubel z Sokolik wraz z maszynistą Bojkiewiczem z Sambora pospieszyli natychmiast z pomocą ciężko rannym. Na miejscu wyzionął ducha. robotnik kolejowy Józef Wiadrowski, który stał na środku drezyny i przy zderzeniu odniósł najpoważniejsze rany. Inżynier Graubart chwilowo odzyskał przytomność i począł nawet dyktować urzędnikowi Rublowi testament, nie mogło być jednak mowy o utrzymaniu go przy życiu. Przeniesiony do Turki zmarł po kilkugodzinnych męczarniach. Ciężko ranny jest banmistrz Paziuk, który prawie że cudem nie postradał życia. Lżejsze obrażenia odniósł banmistrz Bauer i trzej robotnicy torowi.

Dyrekcya kolejowa przeprowadza na miejscu szczegółowe dochodzenia co do przyczyn katastrofy, która pociągnęła za sobą w ofierze dwa życia ludzkie.

Rewindykacya arcydzieł polskiej sztuki.

Dzięki niestrudzonym usiłowaniom znanego literata i artysty-malarza Ludwika Stasiaka, udało się w ostatnich dniach zrewindykować dla nas szereg arcydzieł sztuki polskiej, arcydzieł, zdobiących obce gmachy i uchodzących za twory niemieckiego ducha.

Mianowicie w stolicy Tyrolu, w kościele dworskim, znajduje się 28 posągów spiżowych, o których pochodzeniu aż do XIX w. nikt nic nie wiedział. Dopiero niemiecki uczony Heideloff zbadał je i orzekł, iż są to dzieła Wita Stwosza. W drugiej połowie jednak XIX. w. uczony niemiecki dr. Lübke, pisząc monografię o odlewaczu norymberskim Piotrze Vischerze, natknął się w Insbruku na posągi w kościele dworskim i „zaanektował“ je dla Vischera, „mianując“ go równocześnie rzeźbiarzem.

Za przykładem Lübkego poszli inni niemieccy historycy sztuki i wszyscy uznali arcydzieła Stwosza za prace Vischera, wielbiąc je przytem, jako szczyt geniusza Germanii i reklamując je powszechnie.

Tymczasem p. Stasiak, który w ostatnich czasach oddał się z wielkim zapałem pracy nad monografią o Stwoszu, dostał w swę ręce *Rozporządzenia norymberskiej rady miejskiej z XV. i XVI. w.*, dotyczące właśnie prac Stwosza. Dokumenty te rozwiewają wszelkie wątpliwości co do autorstwa insbruckich posągów. Mówią one mianowicie, że cesarz Maksymilian zamówił u Wita Stwosza kilka posągów spiżowych i że gdy cech rotgisarzy norymberskich odmówił Stwoszowi miejsca w odlewarni, sam cesarz miejsca tego udzielić mu kazał. Nadto wynika z nich, że Piotr Vischer nie był wcale rzeźbiarzem, lecz tylko odlewaczem.

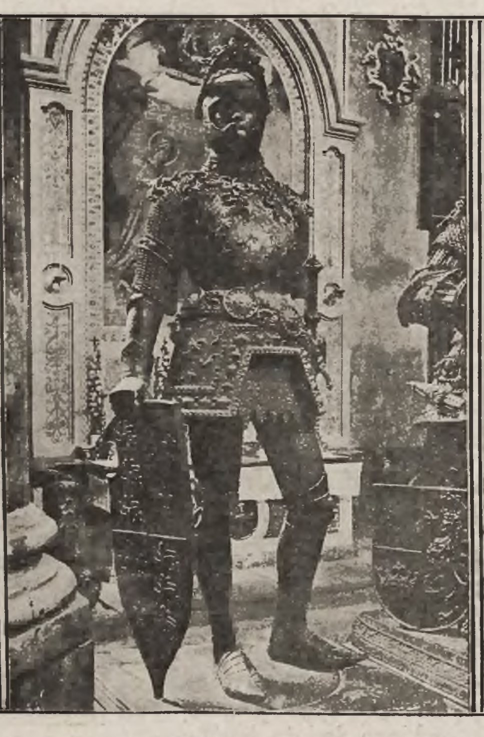
Celem ostatecznego zbadania sprawy udawał się p. Stasiak dwukrotnie do Insbruku, drugim razem w towarzystwie artysty-malarza Wincentego Wodzinowskiego, a wynikiem dwu tych ekspedycyj naukowych, wynikiem mozolnych prac i szczegółowego oglądnięcia i zbadania posągów w kościele insbruckim potwierdza w zupełności pierwotne orzeczenie Heideloffa, iż w szczególności posągi królów Artura i Teodoryka, Leopolda Świętego, Joanny Kastylijskiej, Maryi Burgundzkiej, Kunegundy, Eleonory Portugalskiej i Cymbarki Mazowieckiej, są bez wątpienia dziełem polskiego rzeźbiarza Wita Stwosza.

Zdjęcia nasze przedstawiają te arcydzieła polskiej sztuki. Nadto zamieszczamy portrety pp. Ludwika Stasiaka i Wincentego Wodzinowskiego.

Rewindykacya arcydzieł polskiej sztuki:



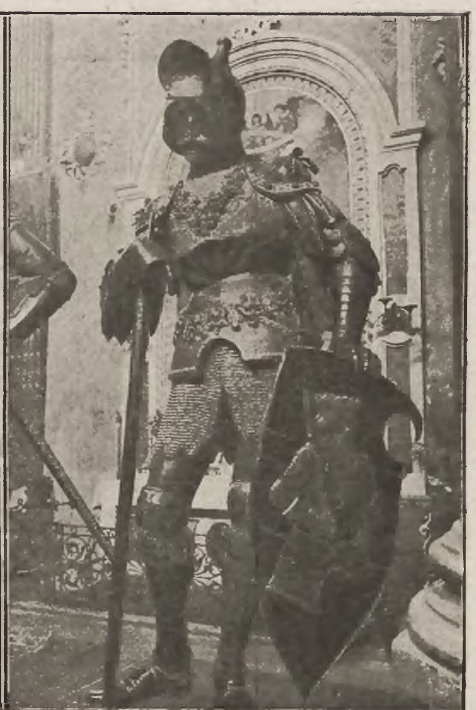
5. Leopold Święty.



6. Artur, król Anglii.



7. Cymbarka Mazowiecka.



8. Teodoryk, król Gotów.

Jubileusz zasłużonego pedagoga.

(Do illustracyi na stronie 8).

Jeden z najsympatyczniejszych jubileuszów, jakie w ostatnich czasach obchodzono w Krakowie. Bo jubileusz pracy nad młodem pokoleniem, pracy cichej ale owocnej, żmudnej i pełnej poświęcenia. Święcił go Roman Zawiliński, dyrektor IV. gimnazyum w Krakowie i jeden z wybitnych polonistów i badaczów języka polskiego. Święcił go z okazyi trzydzie sto lecia swej pracy pedagogicznej.

Wychowanek gimnazyum tarnowskiego, uniwersytet kończył w Krakowie, gdzie kształcił się pod kierunkiem ś. p. prof. Malinowskiego. Zamianowany nauczycielem gimnazyalnym, przebywał naprzód krótki czas na prowincyi, poczem powołany do Krakowa, spędził tu lat 20 na stanowisku profesora gimnazyum św. Anny. Następnie był przez kilka lat dyrektorem gimnazyum w Tarnowie, a przed rokiem objął dyrekcyę gimnazyum IV. w Krakowie.

Jako pedagog zaskarbił sobie miłość, uznanie



Szkoła gospodarstwa domowego: Uczestnicy uroczystości otwarcia szkoły gospodarstwa domowego w Krakowie. 1. Prezydent dr. Leo; 2. wiceprezydent dr. Szarski; 3. poseł dr. Petelenz; 4. poseł dr. Bandrowski; 5. radca prof. dr. Wasung; 6. prof. dr. Juliusz Nowak. 7. redaktor Konopiński; (×) kierowniczka szkoły pna Makolondrzanka.

i wdzięczność swych wychowanków. Uczył ich kochać ziemię i język ojczysty i wychowywał na dzielnych obywateli kraju. Czas wolny od obowiązków nauczycielskich poświęcał pracy literackiej i naukowej. Na tem polu zdziałał też dyr. Zawiliński bardzo wiele. Zaznajamia więc nas z życiem i literaturą innych ludów słowiańskich, zwłaszcza Czechów i Słowaków. Jako członek kilku komisyi Akademii Umiejętności, a to: komisyi językowej, antropologicznej i badań w zakresie historyi literatury i oświaty w Polsce, opracował szereg rozpraw naukowych, zawartych w rocznikach Akademii. Nadto wydaje od lat 9 *Poradnik językowy*, mający służyć czystości i poprawności języka polskiego, oraz zapoznawać ogół w sposób przystępny z postępem prac językoznawczych. Wspomnieć też trzeba o pracach z zakresu dydaktyki, zamieszczanych w *Muzeum i Encyklopedyi wychowawczej*.



Rewindykacya arcydzieł polskiej sztuki: Ludwik Stasiak.

Słusznie więc oddano hołd zasługom i pracy dyr. Zawilińskiego z okazyi trzydziestolecia tej pracy. Obchód jubileuszowy, urządzony w ubiegłym tygodniu, rozpoczęto nabożeństwem w kościele św. Anny, poczem uczniowie i nauczyciele gimnazyum IV. złożyli jubilatowi życzenia w szkole. Wieczór zaś odbył się bankiet w sali Starego Teatru.

Oficerowie młodoturеccy w Czechach.

Wiadomo, że przemysł czeski posiada jeden z najpoważniejszych rynków zbytu w Turcyi. Gdy po aneksyi Bośnii i Hercegowiny Turcy rozpoczęli bojkot towarów austryackich, okazało się dopiero, jak wielkie pole zbytu posiadały fabryki czeskie na półwyspie bałkańskim. Wiele fabryk w owym czasie musiało znacznie ograniczyć swą produkcyę, niektóre nawet były zmuszone do czasowego przerwania pracy, gdyż straciły możność wysyłania swych wyrobów do Turcyi.

Obecnie, po wypłaceniu Porcie przez Austryę 54 milionów za anektowane prowincye, po odstąpieniu jej sandżaku Nowo-bazarskiego, stosunki austryacko-tureckie weszły na drogę jak najlepszą, tak że nie brak nawet polityków, którzy przewidują bliskie *entente cordiale* Austro-Węgier z Turcyą. To też i wycieczka turecka do Austryi nabrała cech do pewnego stopnia politycznych, mimo że celem jej istotnym było nawiązanie stosunków handlowych i zapoznanie się z nowoczesną techniką wielkiego przemysłu.

Jednym z etapów wycieczki tureckiej do Austryi było zwiedzenie Czech. Reprezentanci sfer przemysłowo-handlowych nie szczędzili kosztów i zabiegów, żeby przyjęcie uczestników wycieczki w ciągu 5 dni ich pobytu w Czechach wypadło jak najwspanialej.

Prócz reprezentantów tureckiego świata handlowego przybyli do Czech także oficerowie młodotureccy, którzy brali czynny udział w rewolucyi wojskowej w Konstantynopolu, zakończonej detronizacyą Abdul-Hamida.

Po wielkim procesie.

Proces przeciw Steinheilowej skończył się dawno. Mimo to osoba bohaterki tego procesu nie przestaje interesować ogółu, zwłaszcza Paryżan. To też i dzienniki pełne są szczegółów o dalszych jej losach.

Obecnie przebywa Steinheilowa na wsi, dokąd skryła się przed natrętną ciekawością publiki a przedewszystkiem dziennikarzy. Miejsce jej pobytu jest znane tylko małemu gronu osób.

Bardzo oryginalnie odbył się odjazd Steinheilowej, naprzód z pałacu sprawiedliwości po procesie do hotelu, a następnie na prowincyę. Chodziło bowiem o to, by wyjazd przeprowadzić w tajemnicy, co też w zupełności się udało. Kilku więc przyjaciół uwolnionej sprowadziło w demonstracyjny sposób wielki samochód przed pałac sprawiedliwości. Zajęli w nim miejsca: dyrektor więzienia z córką, osłoniętą welonem, oraz jeszcze dwie osoby, poczem samochód ruszył szybko ku więzieniu Saint Lazare. Tłumy publiczności, mniemając, że to Steinheilowa odjechała, pospieszyły śladem powozu. Tymczasem zajechał drugi samochód i tym odwieziono Steinheilową na wieś gdzie zamieszkała.



Rewindykacya arcydzieł polskiej sztuki: Wincenty Wodzinowski.



Oficerowie młodotureccy w Czechach: Grupa oficerów młodotureckich; w środku poseł dr. Wratysław Czerny.

PAUL d'IVOI.

SZPIEG X 323.

13 (Ciąg dalszy).

— Owszem, zaraz pan przyzna mi słuszność. Spotykamy się w Armeryi. Przed zamienieniem nawet pierwszego słowa wiedzieliśmy, że w archeologii przedstawiamy dwie rywalizujące z sobą szkoły.

Nie mogłem zaprzeczyć temu. Potwierdziłem ruchem głowy. Wydało mu się to dostatecznem, gdyż mówił dalej spokojnie:

— Starcie było nieuniknione, należało być, mówiąc oględnie, albo zaczepiającym albo zaczepionym. Przypuszczam z niejaką pewnością, że pan miał te same myśli, gdy, proszę mi to wybaczyć, poszedłem naprzód szybciej niż pan.

Jak wytwornie było to powiedziane. Istotnie, zbrodnia traci swą okropność, gdy jest tak opisaną. Iść szybciej niż ja! Co za wspaniała eufemia na wyrażenie, że zostałem napadnięty i że mój towarzysz odczuwa pewne niezadowolenie, iż napad ten nie był zupełniejszy, nie miał należytego skutku.

— Dobrze! zgadzam się na to wszystko. Wyznam jednak panu zupełnie szczerze, że nie domyślam się, do jakiego celu dąży ten wstęp... Jest tu dowcip, szczęśliwe wyrażenia, lecz brak jasnej wskazówki.

— Dojdziemy i do tego — rzekł z powagą.

Lecz w chwili, gdy otwierał usta, by w dalszym ciągu snuć nić swych myśli, otworzyły się nagle drzwi.

Ukazał się służący, który, gdy hrabia zawołał gniewnie:

— Rozkazałem, by mi nie przeszkadzano...

Odparł zmieszany:

— Usłuchałbym rozkazu pana hrabiego, lecz przyszedł brygadyer policyi... Chce widzieć pana hrabiego, by zakomunikować jakąś ważną rzecz.

Zerwaliśmy się obaj z foteli. Brwi hrabiego zmarszczyły się i cały się zasępił... Jedna myśl zrodziła się w naszych czaszkach. Czy jego zajęcia szpiegowskie wyszły na wierzch? Pohamował się zaraz i odprawił służącego temi słowami:

— Dobrze. Proszę przyprowadzić tu tego brygadyera.

Uznałem za odpowiednie usunąć się, lecz pan Holsbein zatrzymał mnie.

— Po co? Nie mam już nic do ukrywania przed panem. Brygadyer ten nie powie panu nic takiego, czego by pan sam nie wiedział.

— Pańskie zaufanie do mnie jest mi bardzo miłe, ale...

Przerwał zaraz:

— Moje zaufanie?... Cóż znowu, niechże pan nie żartuje teraz... Moje zaufanie?... Nie skonczyliśmy tylko naszej rozmowy.

Służący ukazał się znowu, puszczając przed siebie funkcyonaryusza policyi, który odezwał się do gospodarza domu:

— Pan hrabia wybaczy mi, lecz z powodu rozkazu Dyrekcyi, musiałem nalegać, by mnie zaanonsowano.

— Proszę nie tłómaczyć się panie brygadyerze, lecz przystąpić odrazu do rzeczy.

Przybyły spojrzał na mnie z pod oka, jakby pytał się, czy może w mej obecności wyłożyć swe posłannictwo.

— Ten pan jest moim zaufanym, pospieszył dodać hrabia i proszę wcale się nie krępować.

Spokojnym i pełnym namaszczenia głosem brygadyer zaczął zdawać swą relacyę:

— Dzisiaj rano koło godziny dziesiątej pociąg ekspress Madryt-Paryż-Kolonia-Berlin przybył na stacyę graniczną Irun z opóźnieniem tylko dwóch godzin trzydziestu pięciu minut, co, pozwolę sobie zaważyć, stanowi rekord punktualności w tym roku.

Pomyślałem, że brygadyer byłby sprytniejszy, gdyby pominął milczeniem tę sprawę. Zapomniałem jednak, że ludność Hiszpanii ma specyalne swe przysłowia o żelaznych drogach:

— Jeżeli się spieszysz, omijaj drogę żelazną, a siadaj na muła. Jeżeli masz się ćwiczyć w cierpliwości, siadaj do pociągu. Wobec tego można przyznać, że tylko półtrzecio-godzinne opóźnienie zasługuje na zwrócenie uwagi.

Brygadyer ciągnął dalej, nie spiesząc się również jak i kolej.

— Konduktor na stacyi przestrzegał, wołając głośno, że w Irun wszyscy winni wysiadać z wyjątkiem pasażerów wagonów bezpośredniej komunikacyi, gdy niespodzianie na ławce wagonu pierwszej klasy zobaczył jakiegoś senora, pogrążonego w głębokim śnie.

Starał się go obudzić, powtarzając:

— Eh! senor! Irun! wszyscy wysiadają! Irun, granica francuska!

Lecz pasażer spał jak zabity. Konduktor, zaniepokojony tem, pospieszył do naczelnika stacyi, który po naradzie ze swym pomocnikiem, postanowił wynieść śpiącego na rękach.

Dwóch ludzi ze służby przeniosło nieznanego pasażera do biura naczelnika stacyi, dokąd przybył zaraz don Lorenzo Parfaragate, doktór kolejowy i oznajmił, że nieznajomy uśpiony jest chloroformem i że według wszelkiego prawdopodobieństwa wkrótce się obudzi.

Przytem jednak stwierdzono, że z pasażerem ktoś się obszedł w dziwny sposób. Zabrano mu trzewiki. Przeszukano cały wagon, który naczelnik rozkazał odstawić na boczną linię, lecz nie natrafiono nawet na ślad obuwia, pasażer zaś po obudzeniu się utrzymywał, iż trzewiki miał na nogach. Naturalnie, że nie można było poddawać tego w wątpliwość, gdyż żaden człowiek nie siada do wagonu tylko w skarpetkach w paski zielono-czerwone, jakie miał on na sobie.

Musiałem pilnować się, by nie parsknąć śmiechem. Brygadyer z najzupełniej zimną krwią zdawał nam cały raport urzędowy. Zużył już na to pięć dobrych minut, a nie wiedzieliśmy jeszcze, dlaczego ten pasażer bez butów ma interesować hrabiego.

Widziałem jak pan Holsbein coraz bardziej niecierpliwi się, zapewne jednak uważał, iż przerywając gadule, można narazić się na dłuższe jeszcze jego gadanie. Zmuszał się też do milczenia, gdy brygadyer układał i wypowiadał jedno zdanie po drugiem w przekonaniu, co zresztą widać było po jego zadowolonej minie, iż wymową swą sprawia nam wielką przyjemność.

— Należy więc przypuszczać, że zbrodniarz albo zbrodniarze, na co wskazuje użycie chloroformu, którym nikt nie ma prawa posiłkować się oprócz lekarzy, w wypadkach, gdy zachodzi konieczność operacyi i to nie względem wszystkich...

— Ależ cóż mnie to może interesować — zawołał wreszcie hrabia wyczerpany zupełnie monotonnością tego opowiadania.

Brygadyer nie zmieszał się wcale.

— Dowie się pan hrabia w odpowiedniej chwili; osoba tak dostojna jak pan hrabia nie może żądać, by zawiadomienie urzędowe przedstawiono bez należytego porządku. Zawsze należy zacząć od początku i potem logicznie zmierzać do zakończenia.

— A więc niech pan zmierza... Na razie bowiem stoimy.

Uwaga ta wywołała uśmiech pod sumiastemi wąsami brygadyera.

— Bardzo słusznie — rzekł potwierdzająco — zmierzam dalej, jak pan hrabia życzy sobie.

I niewzruszony zaczął od punktu, na którym przerwał. Ah! gdy Hiszpan chce być flegmatycznym, wtedy przekracza już wszelkie granice powolności, daje wyprzedzić się nawet pociągowi hiszpańskiemu.

— Wspomniałem więc, że zbrodniarze z wszelką pewnością zachloroformowali naszego pasażera. Za tą hypotezą przemawia jeszcze i to, iż nie zadowolili się jego obuwiem, lecz odpruli także podszewkę od jego kamizelki, marynarki i zarzutki; ponadto zabrali jego kapelusz, czapkę podróżną i poprzewracali rzeczy w walizie. Liczba i rozmaitość tych operacyi stwierdza niezbicie konieczność poprzedniego chloroformowania. Bez pomocy tego środka nasennego nie mogliby dokonać tych swoich czynów.

— To mężczyznę tak zrewidowano?... Może sądzono, że ma on przy sobie jakie ważne papiery, które mógł ukryć pod podszewką, w obuwiu, lub w innem jakiem miejscu, gdzie zazwyczaj nic się nie chowa — zawołał pan Holsbein, wyprowadzony z wszelkiej cierpliwości.

To mi wszystko wyświetliło. Rozumiałem teraz motywy tego wypadku z chloroformem. „Teść“ mój zdradził się z myślą, która od początku samego zjawiła mu się w głowie.

Brygadyer przyjął to za oznakę domyślności hrabiego, z odcieniem też specyalnego poważania rzekł:

— Pan hrabia trafił w samo sedno. Właśnie do tego wniosku doszliśmy po pierwszem badaniu, lecz...

Zrobił tutaj małą pauzę, by wywołać resztą zdania większy efekt.

— Lecz pasażer po swem zbudzeniu twierdził, że nigdy nie był w posiadaniu papierów, któreby mogły wywołać chciwość w złodziejach. Powracał do rodziny i nie rozumiał wcale, co może znaczyć zamach, którego stał się ofiarą.

— Co więcej? — dopytywał się hrabia nerwowo w widocznem podnieceniu.

— Teraz właśnie — ciągnął nielitościwy przedstawiciel władzy — będę miał zaszczyt oznajmić, co w tej sprawie może interesować pana hrabiego. Każdy mi przyzna, że doszedłem do tego w jedynie wskazany sposób, bez tych bowiem wstępnych wyjaśnień zakończenie mego opowiadania nie miałoby żadnego sensu. Otóż podróżny ten, badany przez mego kolegę Veloreza, brygadyera trzeciej kompanii batalionu straży bezpieczeństwa, oznajmił, iż nazywa się Wilhelm Bonn, urodzony w Hamburgu w Niemczech, lat trzydziestu siedmiu, kawaler, bezdzietny, pełniący obowiązki prywatnego sekretarza Waszej Ekscelencyi.

Oczekiwałem tego wyniku od kilku już chwil, nie zdziwił mnie on też zupełnie.

Hrabia natomiast zmarszczył się gniewnie, zacisnął ręce i zawołał głosem drżącym z wściekłości:

— I dlatego tylko, by mnie to opowiedzieć, nie pokojono pana, brygadyerze!

— Dlatego i by sprawdzić słowa Wilhelma Bonna. Wsiadł do pociągu jadącego do Madrytu, żandarmerya jednak nie spuściła go z oka. Polecono mi też telegraficznie, bym dowiedział się od pana hrabiego, czy pasażer ten nie wprowadził w błąd władzy.

— Wszystko to jest najzupełniejszą prawdą.

— Wobec tego pozwolą mu spokojnie wysiąść tu na dworcu i udać się do pana hrabiego. Gdybym nie otrzymał tego potwierdzenia, zatrzymanoby go przy wyjściu z pociągu, gdyż nie dosyć podawać się za ofiarę, by oszukać baczne oko policyi; trzeba jeszcze dać dowód swego stanu cywilnego.

Podniósł się, skłonił, powtarzał *„gracias senor“*, przepraszał za zajęty czas i tłómaczył, że wymagania obowiązku, dyscyplina, zabezpieczenie spokoju publicznego, prawa kolejowe, wymagają takich dowodów... Ach! gaduły! Gdy nie mają nic do powiedzenia, stają się najrozmowniejsi. Zdaje mi się, że gdyby nie przybył on w charakterze urzędowym, hrabia z pewnością wyrzuciłby go za drzwi. Domyślałem się tego z drgań nozdrzy u mego „teścia“.

Wreszcie brygadyer zdecydował się odejść, lecz jeszcze od drzwi chciał zarzucić nas nową seryą przepraszań.

Tym razem pan Holsbein przerwał stanowczo.

— Dziękuję, brygadyerze... oto pięć pesetas za pańską fatygę.

Przedstawiciel policyi wziął szybko monetę i kłaniając się już w milczeniu, wyszedł.

Po zamknięciu się za nim drzwi, hrabia spojrzał na mnie, a ja na hrabiego.

— I cóż — rzekł otwarcie. Sieci dobrze są zastawione dokoła Casa Avreda. Chciałem się upewnić co do tego i teraz mam dowody.

Nie miałem nic do opowiedzenia... Słowa te nie zwracały się bezpośrednio do mnie. Mijały one mnie a zmierzały wprost do nieuchwytnego i niezmordowanego X. 323, któremu przypisywałem bez wahania tę przygodę Wilhelma Bonna, sekretarza pana Holsbeina. Widocznie i hrabia doszedł do tego wniosku, zajął bowiem poprzednie swe miejsce przy biurku i rzekł zmienionym głosem:

— Powróćmy do punktu, przy którym ten głupiec przerwał nam.

Kiwnąłem głową na znak zgody.

— Dobrze... Oddawałem sprawiedliwość pańskim istotnym zaletom i miałem dojść do tego wyniku: Jako człowiek inteligentny i dzielny, musi pan czuć wstręt do sprawiania cierpienia niewinnemu dziecku.

Poruszyłem się niespokojnie. Tego już nigdy nie oczekiwałem!

— Mówię o Niecie — ciągnął dalej hrabia jakimś rozrzewionym tonem... nie chcę, by ona miała cierpieć.

— A skąd panu przychodzi na myśl, że ja jej sprawię ból?

— Z tego oto! Pan jej nie kocha.

— Co?

— Nie może pan jej kochać, powtórzył z naciskiem.

Zaczynał mnie już drażnić. Jakiem prawem ten chytry człowiek zaprzecza mojej miłości. Jeżeli ty, oślepły ojcze — uważasz — iż nie można jej kochać, to znaczy, żeś nigdy nie patrzał na to cudowne stworzenie! Rzeczywiście, niektórzy ojcowie bywają ciemni na wdzięki swych córek. Wzruszając więc ramionami, o co sam się oskarżam — odrzekłem drwiąco.

— W takim razie, drogi panie, będę panu wdzięczny za wyjaśnienie, w jakim celu prosiłem o rękę tego drogiego dziecka.

Wydał z siebie jakiś głuchy pomruk, jakby odgłos wewnętrznego wzruszenia i odpowiedział z wahaniem:

— Niete musiała panu mówić... pozwolić domyślać się, że nie przyznaję sobie prawa wpływania na jej wybór... Szczęście jednej osoby nie bywa zawsze szczęściem i drugiej, pan zaś postanowił prosić o jej rękę...

— Ponieważ kocham ją...

— Nie, ponieważ pan przypuszczał słusznie, że ja szanując wybór Niety, pozwolę panu starać się o nią... to da panu wstęp do mego domu, możność pod tym pretekstem śledzenia mych kroków.

Nazywał więc mnie wprost szpiegiem.

— Pozwoli pan...

— Poco zaprzeczenia?... Nie winię pana za to. W wojnie podstęp jest uprawniony... Za wszelką cenę należy dojść do zamierzonego celu... Gdybym wiedział, nie dałbym wówczas tej odpowiedzi, swego przyzwolenia... Sądziłem, że nazajutrz nie będzie tutaj nic do pilnowania... I wyznam, że bawiła mnie ta myśl, iż ułatwiam panu myszkowanie w domu, w którym nic już niema.

Okazuje się, że w parku, przed nieszczęsną wycieczką do Studni Maurytańskiej, nie myliłem się co do istotnych uczuć mego „teścia“.

Niestety, obecne jego słowa nie wywierały już na mnie wielkiego wrażenia, z pewną też obojętnością zaprzeczyłem:

— Nie miałem najmniejszego zamiaru śledzić... Nie dał mi dokończyć.

— Poco pan jeszcze raz stara się przeczyć wbrew oczywistości?

— Gdyż ta oczywistość sprzeczna jest z prawdą.

— Ależ!...

— Daję panu słowo — zacząłem. Zatrzymał mnie.

— Zapomina pan, panie Maksie Trelam, żeśmy spotkali się w Armeryi.

Miał racyę... Złapał mnie tam na gorącym uczynku szpiegostwa i cokolwiek bym teraz mówił, nic go nie przekona. Wprowadziło mnie to w taki kłopot, iż pochyliłem głowę, nie czując się na siłach dać mu jakąkolwiek odpowiedź.

Słabą stroną ludzi uczciwych, postępujących zazwyczaj lojalnie, jest to, iż nie znajdują obrony wobec zarzutu logicznie sformułowanego. Sama uczciwość nakazuje przyznać im logiczność i gdy dojdzie się do tego z całą naiwnością, niemożliwe już jest bronić się przed zarzutem; jest się wtedy niejako porażonym tym faktem, który z powodu swej logiczności uważany jest za prawdopodobny. Dla wielu zaś ludzi prawdopodobność i prawda jest jednem wbrew mądremu przysłowiu, że: „Prawda może być nieraz nieprawdopodobną“.

Hrabia nie domyślił się istotnego powodu mego milczenia.

— A więc jesteśmy w zgodzie — zaczął miękko, obniżając bezwiednie głos. — Wizyta brygadyera przydała się na coś... Z opowiadania jego przekonał się pan, że... pańscy przyjaciele otaczają mnie coraz gęstszą siecią szpiegostwa. Czyż nie jest to i pańskie zdanie?

— Wyznam, że w istocie, zdaje mi się...

— Doskonale! W takim razie czy uważał pan dla mnie za konieczną obecność jeszcze jednego dozorcy w mym domu?

— Niech pan przyzna, że ten dozorca, kiedy pan tak bardzo chce dotknąć mnie tem przezwiskiem, nie bardzo zawadzał panu w ostatnich dniach.

Roześmiał się z mych słów.

-- Przyznaję chętnie. Był pan chory. Dobrze to się stało.

— Dziękuję uprzejmie.

— Niech pan nie trudzi się. Ciągnę dalej. Teraz pan wyzdrowiał; naturalnie, że narzeczony musi bywać u swej ukochanej... Będzie więc pan bezustanku w Casa Avreda.

— Istotnie — wyjąkałem — uważam to za najodpowiedniejsze dla widywania się z miss Nietą.

Zmarszczył brwi, lecz zaraz się rozpogodził.

— A ja właśnie chcę prosić, by pan przestał widywać Nietę.

Zerwałem się z fotelu.

— Nie widywać jej wcale! Nie mogę tego uczynić. Nawet kładąc głowę pod topór, nie przyrzekłbym tego nikomu.

W głosie jego dźwięczał teraz pewien smutek, który mnie wzruszył.

— Rozmawiałem wczoraj z córką... Przekonałem się, że przyjęła na seryo pańską mniemaną miłość... Jako lojalny przeciwnik proszę pana o niewciąganie mego dziecka w nieszczęście. Rozłączenie z panem obecnie sprawiłoby jej przykrość, lecz gdy wyjedzie w dłuższą podróż, urozmaiconą rozrywkami, będzie mogła zapomnieć. Jeżeli zaś będzie ciągnęło się to dłużej, zło może stać się nieuleczalne. Przyczynianie bólu niewinnym istotom, które nie należą do walki, jaką z sobą prowadzą ludzie, jest zawsze złym czynem.

Szpieg ten poprostu rozczulał mnie. W człowieku tym, który bez najmniejszego skrupułu chciał rzucić zarzewie europejskiej wojny, miłość ojcowska pozostawała czysta, nieskażona. Nie widzieć Niety nie mogę... Należy go o tem przekonać.

— Byłoby to w istocie, jak pan mówi, nietylko złym, lecz nikczemnym czynem.

Oczy jego zabłysły.

— Ach! Cieszę się, że pan również tak sądzi.

— Przepraszam... Mówię byłoby. Byłoby, jeżeli starając się o rękę miss Niety, kierowałbym się temi zamiarami, które mi pan przed chwilą przypisywał.

Poruszył się niecierpliwie.

— Ach! — zawołałem gniewnie. — Niech pan



Lecz pasażer spał jak zabity.

da mi mówić... Ja panu nie przerywałem... Teraz na mnie kolej, bym wypowiedział swoje.

I w krótkich, urywanych, ścisłych zdaniach opowiedziałem mu, nie dotykając w najmniejszej mierze X 323, jak się znalazłem wieczorem w dzień przyjęcia na ulicy Zorilla, gdy Niete powracała do domu. Mówiłem dalej o ranku następnego dnia, o swej niezmiernej litości dla młodej, niewinnej panny, płaczącej z powodu swego ojca i o swej obecności w pawilonie ogrodowym podczas tragicznej sceny między ojcem a dzieckiem. Wreszcie wyjaśniłem i sprawę ze Studnią Maurytańską, zmieniając ją jednak cokolwiek...

Stara cyganka i jej śpiewana legenda; me zamiłowanie do starych kamieni; wizyta nocna przy studni, zdumienie moje przy poznaniu postaci hrabiego i zniknięciu jego w studni; natrafienie na żelazne klamry.

— Resztę pan wie; sądziłeś pan, że jesteś śledzony przez szpiega; był to tylko zwykły korespondent *Timesa,* zgadzam się, że może zbyt ciekawy, lecz który przychodząc do Studni Maurytańskiej, chciał pomarzyć przy świetle księżyca w tym romantycznym zakątku, jak przystało na prawdziwego zakochanego.

Słuchał mnie, kiwając głową... Niejasności mego opowiadania starałem się zręcznie zatuszować, by nie napomknąć nawet o swych stosunkach z X 323 markizą Almaceda lub sirem Lewis Markhamem, którzy tak ściśle wiązali się z ostatnimi wypadkami.

Chciałem zadać ostatni cios jego uporczywym wahaniom.

— I kocham to dziecko, którego każe mi pan unikać. Czyż mogę to uczynić, zwłaszcza teraz, gdy z własnych pańskich ust usłyszałem, iż rozłączenie byłoby dla niej cierpieniem? Kocham ją ze czcią jako tę, która będzie kapłanką mego ogniska domowego, matką mych dzieci, słonecznym promieniem mego życia.

Na chwilę zapalił się w oczach hrabiego zły błysk.

— Pan wie, że ja nie daję żadnego posagu swej córce.

— Ach! Cóż to! Proszę pana bardzo!

Ta szybka odpowiedź mogła wydać się obraźliwą... Okazał się nią zupełnie zaspokojony.

Zrozumiałem jego ukrytą myśl. Zdecydował się na ostatnie doświadczenie, doświadczenie pieniężne w tem przekonaniu, że fałszywa miłość nie utrzyma się wobec braku posagu.

Z próby tej wychodziłem zwycięsko. Zrobił wielki gest rezygnacyi.

— Niech więc się stanie, jak pan chce.

Podniósł się z za biurka, okazując, że i ja mogę to uczynić.

— Nie mamy już nic sobie do powiedzenia — szepnął.

Po chwili milczenia zapytał:

— Dokąd pan teraz pójdzie?

— Do parku.

— Niete tam pewnie czeka na pana?

— Tak.

Poklepał mnie po ramieniu.

— Dobrze, dobrze, niech pan nie każe jej długo czekać. Widzi pan, myliłem się. Teraz wierzę, że nie zrobi pan jej żadnej krzywdy.

Nigdy nie mogłem sobie wytłómaczyć, jak to się stało, lecz serdecznie uściskaliśmy się za ręce. Ja ze swoją najzupełniejszą prawomyślnością angielską zamieniłem *shake-hand* z tym szpiegiem, pozostającym na żołdzie nieprzyjacielskich Niemiec, z tym człowiekiem, który włamał się do gabinetu naszego premiera!

— Biedna, ukochana Niete — rzekł jeszcze. — Ma panieńskie poglądy... Nie pojmuje ona konieczności bytu, zawikłań życia ludzkiego... Tak, tak, jedynie miłość może ułagodzić jej wielki smutek. Cieszę się, że znalazł się pan, by podtrzymać ją w strapieniu.

Otwierał drzwi.

— Niech pan nie daje czekać na siebie — powtórzył.

I dodał cichym głosem:

— A przytem... te dziewczęta mają żywe odczucie, niedopuszczające łagodzących okoliczności... Niech pan się postara, by mi je przyznała; tego tylko pragnę, ponieważ nie mogę jej doprowadzić do swego sposobu myślenia.

W dwadzieścia minut potem spotkałem swą najdroższą i radowałem się widokiem jej ukochanych oczu niebieskich, które pod powiekami wyglądały jak dwa bławatki.

Sześć następnych dni było dla nas jedną idyllą. Dzienniki, dokumenty tajemne, wojna, *Times*, oto rzeczy, o których istnieniu zapomniałem najzupełniej. Robiliśmy długie wycieczki powozem w okolice Madrytu, zwiedzaliśmy stare klasztory, zamki, ruiny, lecz wszędzie widzieliśmy jedną tylko rzecz: siebie. Gdy skrzętnie szukam w swej pamięci, przypominam sobie tylko jeden widok z tych dni szczęśliwych, powóz, zaprzężony w dwa wielkie muły, okryte czerwonemi derkami. Na koźle przy stangrecie siedzi Concepcion, która na chwilę nawet nie daje odpocząć swemu językowi ku wielkiemu podziwieniu swego towarzysza. Żadnego innego wspomnienia nie wyniosłem z tego czasu.

Wieczorem po powrocie do hotelu, dowiedziałem się z niechęcią, że stan zdrowia pana Koeleritza poprawia się, że poseł niemiecki podniósł się z łóżka, nie może jeszcze jednak wychodzić. W dziennikach przeczytałem o odpowiedzi Francyi na niemieckie uroszczenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Król portugalski w podróży.

Równocześnie z wjazdem króla portugalskiego Manuela w granice Hiszpanii obwieściły telegramy światu, że operacye wojskowe w Melilli uważać należy za skończone. Burza wewnętrzna w Hiszpanii, wybuchła z racyi wojny, wszczętej przez rząd hiszpański z Kabylami, dalej rozruchy barcelońskie i zawieszenie konstytucyi w kraju, w końcu jako epilog wypadków barcelońskich skazanie na śmierć Ferrera, wpłynęło poważnie na usposobienie Alfonsa i ograniczyły w dużym stopniu jego swobodę ruchów. Początkowo dość nawet popularny, król Alfons musiał się zamknąć w swym zamku, gdyż opinia publiczna, sympatyzująca dawniej z młodym królem, na jego barki zwaliła odpowiedzialność za krwawe wypadki.

Z kłopotliwej i wcale nieprzyjemnej sytuacyi zaczęli króla ratować liberali, obejmując rządy w państwie. Zakończenie kampanii wojennej w Afryce i przywrócenie w Barcelonie ustaw konstytucyjnych to bezwarunkowo dzieło nowego gabinetu liberalnego, który tymi wstępnymi krokami starał się zyskać popularność dla swych rządów i dla króla.

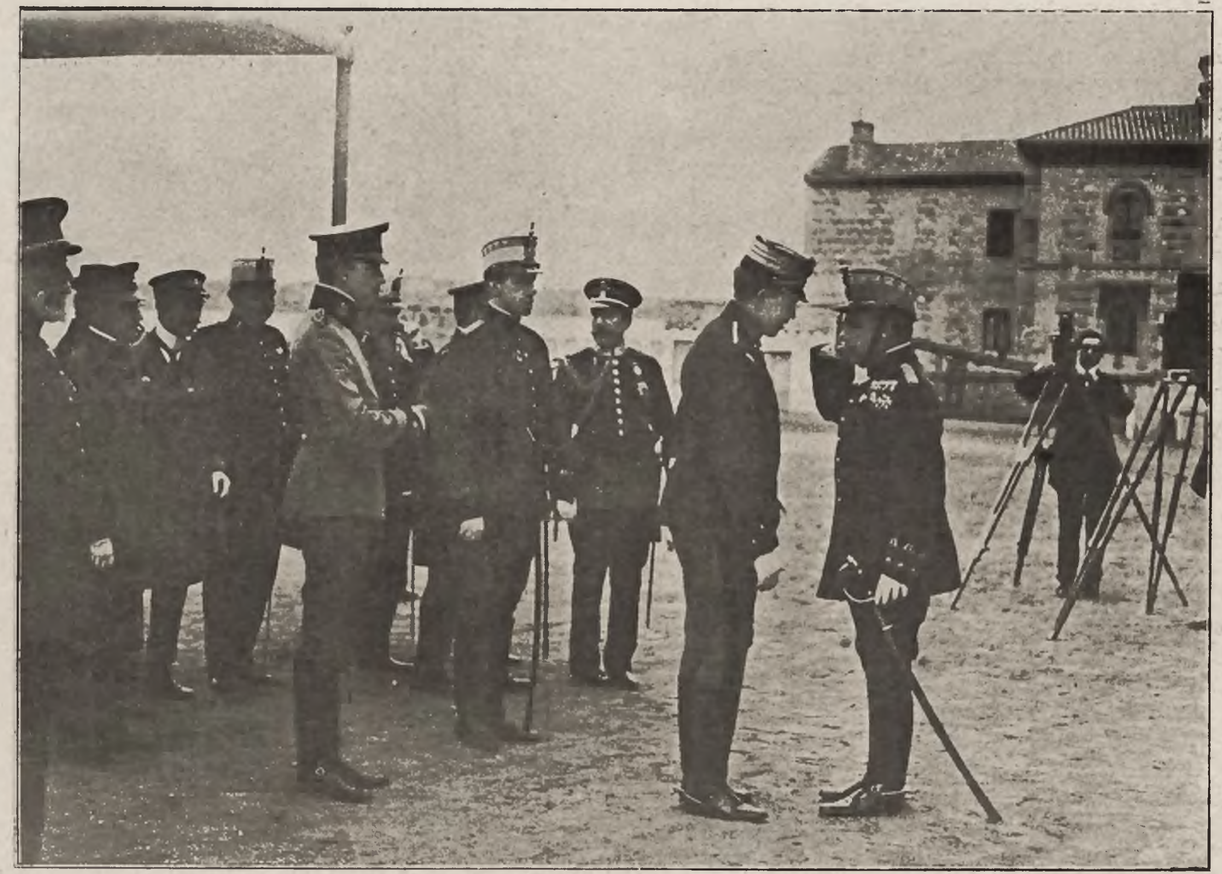
Wizyta króla portugalskiego Manuela w Madrycie dostarczyła królowi Alfonsowi sposobności do wystąpienia na zewnątrz. Nie brakło obaw, że publiczne pokazanie się króla Alfonsa może dać powód do wrogich przeciw niemu demonstracyi, co bezsprzecznie w dość nieprzyjemnem położeniu postawiłoby go wobec gościa. To też przyjęcie króla Manuela w Madrycie poprzedzono ogłoszeniem dekretu, przywracającego gwarancye konstytucyjne prowincyom Barcelona i Gerona, zabezpieczając w ten sposób tak króla Alfonsa jak i gościa przed demonstracyami.

Mimo to wizyta króla Manuela nie miała ram owacyjnego przyjęcia przez ludność stolicy. W pałacu królewskim w dniu 9 b. m. odbył się obiad dworski, podczas którego królowie Alfons i Manuel wymienili serdeczne toasty, a zwiedzanie stolicy ograniczono do zwiedzenia zakładów wojskowych i szkół kadeckich.

Z Hiszpanii udał się król Manuel do Francyi, a stąd do Anglii. Podróż do Anglii odbyła się pod pretekstem odnowienia tradycyjnej przyjaźni między tymi dwoma narodami. Po za tem młody król, jak niosą wieści, ma zamiar wejść w związki małżeńskie z jedną z księżniczek Wielkiej Brytanii.

Wycieczka do Francyi miała na celu przygotowanie sojuszu francusko-portugalskiego, którego życzą sobie tak przedstawiciel polityki zagranicznej Hiszpanii jak i Republiki.

Młody król ma jednak zaprzątniętą obecnie głowę bardziej sprawami matrymonialnemi, niż wielką polityką, bo załatwienie sojuszu z Francyą odłożył do następnej oficyalnej wizyty, którą zamierza odbyć znacznie później, łącznie z wizytami na innych dworach europejskich.



Król portugalski w podróży: Król Manuel, zwiedzający koszary w Madrycie. Z boku aparaty, zdejmujące króla dla kinematografu.

Swieża kompromitacya.

Mały, niepozorny biust, przedstawiający słynną Monnę Lizę, tak znaną z obrazów Leonarda da Vinci, stał się powodem wielkiego skandalu artystycznego i kompromitacyi berlińskich znawców sztuki. Oto dyrektor berlińskich muzeów dr. Bode, bawiąc w Londynie, nabył tam za 200.000 marek biust Monny Lizy, dłuta rzekomo Leonarda da Vinci, a przywiózłszy go do Berlina, ogłosił nadzwyczajny tryumf swych poszukiwań artystycznych, urągając równocześnie Anglikom, za ich ignorancyę i niedbalstwo wobec arcydzieł sztuki.

Skutek tych wymyślań dr. Bode, powtórzonych przez *Timesa*, był nieoczekiwany. Pokazało się bowiem wówczas, iż ów „nieoceniony“ zabytek włoskiej rzeźby renesansowej jest bardzo pospolitą rzeźbą angielską, pochodzącą z przed lat kilkudziesięciu, a ostatni jej posiadacz nabył ją za 150 koron.

Rzecz miała się — jak udowodniono niezbicie — następująco: Rzeźbiarz londyński Ryszard Cocle Lucas, otrzymał około 1850 r. zamówienie od handlarza osobliwości Buchanana, by z rysunku Leonarda da Vinci, przedstawiającego Monne Lizę, zrobił jej biust z wosku. Lucas wykonał zamówienie, Buchanan jednak biustu nie odebrał, tak iż rzeźba ta



Po wielkim procesie: Steinheilowa z gronem przyjaciół obok automobilu, którym wyjechała na wieś.

pozostała w pracowni artysty i po jego śmierci przeszła do innych rąk. Ostatecznie dostała się do niejakiego Murraya Marksa, który ją wreszcie wpakował Bodemu, jako oryginał wielkiego Leonarda.

Na poparcie swych twierdzeń wydostali Anglicy szereg autentycznych listów w tej sprawie, jakotež mają zeznania syna Lucasa, który stwierdził, iż ów biust jest robotą ojca.

Niemcy oczywiście oburzeni. Najbardziej interesowany, dr. Bode, ogłosił w dziennikach protest, podtrzymując twierdzenie, iż nabyta przez niego rzeźba jest robotą Leonarda da Vinci. Aby zaś zdobyć ostateczny autorytet dla swoich twierdzeń, zaprosił do muzeum cesarza Wilhelma II. a ten, ogłądnąwszy biust orzekł bez, apelacyi, iż jest to dzieło Leonarda i gratulował dr. Bodemu „nieocenionego nabytku“.

Wobec stanowczego orzeczenia cesarza Wilhelma, wszechznawcy i specyalisty w sprawach wojskowych, marynarskich, muzycznych, artystycznych i politycznych, Niemcy są zadowoleni, natomiast świat cały ryczy ze śmiechu i cieszy się tą nową kompromitacyą sympatycznych Berlińczyków.

Czeski kościół w Wiedniu,

Stolica państwa austryackiego, Wiedeń, choć jest miastem niemieckiem, posiada sporo ludności słowiańskiej, a zwłaszcza Czechów. Wedle ostatnich spisów ludności mieszka tam stale około 300.000 Czechów, t. j. tyle, ile ma mieszkańców Lwów i Kraków razem. To też język czeski słyszy się w Wiedniu na każdym niemal kroku, nazwiska czeskie widuje się na szyldach sklepów i pracowni rękodzielniczych.

Doszło do tego, że Niemcy wiedeńscy przestraszyli się wzrostu żywiołu słowiańskiego w swem ukochanem mieście i postanowili im utrudnić pobyt w stolicy naddunajskiej, starając się o zniemczenie tych, których interesy związały na zawsze z Wiedniem.

Jednym z kroków w tym celu jest niedawna uchwała sejmu dolnoaustryackiego w sprawie wyłączności jezyka niemieckiego w urzędach autonomicznych oraz w szkolnictwie, skutkiem czego szkoły czeskie w Wiedniu nie dostaną prawa publiczności. Wiadomo, że sprawa ta wywołała wiele hałasu i stała się przyczyną obecnego przesilenia parlamentarnego.

Mimo to jednak Czesi, jako naród ogromnie dzielny i pod względem narodowego uświadomienia na wysokim stojący poziomie, czynią wszystko, by swoim współziomkom, zmuszonym do stałego pobytu w Wiedniu, zapewnić możność nauki w języku ojczystym i gotowi są do daleko idących ofiar na ten cel.

Świeżym dowodem ich energicznej działalności narodowej, jest otwarcie kościoła czeskiego w Wiedniu. Czesi mianowicie kupili za 520.000 kor. klasztorny kościół na Rennweg, uzyskawszy pieniądze na to ze składek. Sam Jan hr. Harrach ofiarował 200.000 koron.

W ubiegłym tygodniu dokonano uroczystego po-



Król portugalski w podróży: Król Manuel przed frontem kompanii wychowanków szkoły kadeckiej; w tyle za nim król Alfons.



Świeża kompromitacya: Cesarz Wilhelm II. przed biustem Monny Lizy, sprzedanym Niemcom jako rzeźba Leonarda da Vinci.



Jubileusz zasłużonego pedagoga: Dyrektor Roman Zawiliński.

święcenia tego kościoła. Nabożeństwo celebrował członek Izby Panów i wielki mistrz orderu kawalerów krzyżowych, prałat Marata. Obecni byli prócz tłumów ludności czeskiej z Wiednia, kierownik ministerstwa handlu szef sekcyi Popp, były minister



Kobieta-nurek: Miss Bolton z Ameryki.

Zaczek i wielu posłów czeskich. Kazanie wygłosił ks. dr. Stojan, który należał do grona najgorliwszych i najczynniejszych członków komitetu.

Podczas uroczystości poświęcenia kościółka urządzono też wielką owacyę na cześć hr. Harracha, z powodu jego hojnego daru na rzecz tego kościoła.



Kościół czeski w Wiedniu: Kościół poklasztorny na Rennweg w Wiedniu, zakupiony przez Czechów.

Przewrót w polityce podatkowej Anglii.

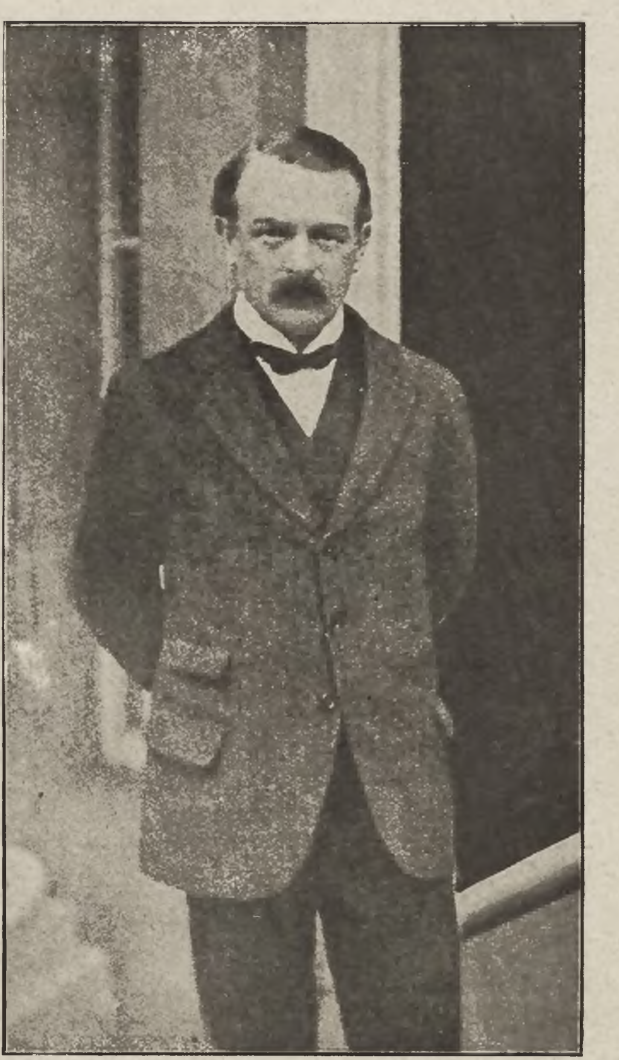
Izba gmin w Anglii dokonała radykalnej reformy w budżecie państwowym. Rosnące z roku na rok zapotrzebowania i wydatki, a co za tem idzie i deficyt państwowy, musiał zostać pokrytym. Polityka Anglii, tak bardzo ekspanzywna, wymaga milionowych wkładów celem utrzymania dotychczasowych rynków zbytu i celem utrzymania olbrzymiej floty wojennej, zapewniającej krajowi macierzystemu przewagę nad koloniami i panowanie na morzu. Te względy skłoniły obecny gabinet Asquitha do przedłożenia Izbie gmin projektu reformy dotychczasowego budżetu, projektu, którego twórcą i najgorętszym rzecznikiem był minister skarbu Lloyd George.

Budżet Lloyda George'a nie zawiera wcale niebywałych rzeczy, a mimo to wywołał on formalną burzę w Izbie lordów, a z drugiej strony ogólny popłoch w świecie handlowo-przemysłowym. Że lordowie w pierwszym rzędzie podnieśli krzyk przeciw „rewolucyjnym“ i „socyalistycznym“ tendencyom nowego budżetu, nie można się dziwić, bo istotnie podatki, które mają zostać zaprowadzone, przedewszystkiem spadną na barki bogaczy. Tak nowo wprowadzony podatek spadkowy, jak i podatek gruntowy i szynkarski jest tego najlepszym dowodem. Jeśli chodzi o przykład, to najlepiej uwidocznia się to na podatku gruntowym. Wiadomo, jak olbrzymie obszary tak po miastach jak i na prowincyi znajdują się w rękach lordów angielskich. W miastach n. p. lordowie są właścicielami olbrzymich parcel, które za niezwykle wygórowaną cenę wydzierżawiają na szereg lat pod budowle. Przeciw temu wyzyskowi zwraca się projekt ustawy ministra skarbu, nakładając na landlordów podatek w wysokości 10 procent od nadwyżki, jaką otrzymuje właściciel przy odnowieniu kontraktu dzierżawy na dłużej niż 21 lat.

Biorąc pod uwagę n. p. podatek szynkarski, projekt George'a obciąża znacznie zwiększonemi opłatami hurtowników, hotele i kluby.

Budżet Lloyda George'a zyskał powszechną sympatyę, mimo że zaprowadza on nawet cła ochronne, przeciw którym mogłyby słusznie podnieść się protesty klasy robotniczej, jako najbardziej zagrożonej cłami ochronnemi. Ale minister skarbu jest nie tylko zdolnym finansistą lecz sprytnym agitatorem. Robotnikom umiał on wytłómaczyć, że zaprowadzenie ceł ochronnych zwiększy rozwój przemysłu angielskiego i zapobiegnie tej największej pladze klasy robotniczej w Anglii, jaką jest proletaryat, pozbawiony pracy.

Oświadczenie się Izby gmin za projektem rządu wywołało między nią i rządem z jednej strony a Izbą lordów z drugiej strony, ostry konflikt, którego końca oczekuje cały świat ze zrozumiałem napięciem, jeśli się zważy, że w stosunkach handlowych nie tylko Europy ale i Ameryki projekt Lloyda Geoge'a wywołać musi olbrzymi przewrót.

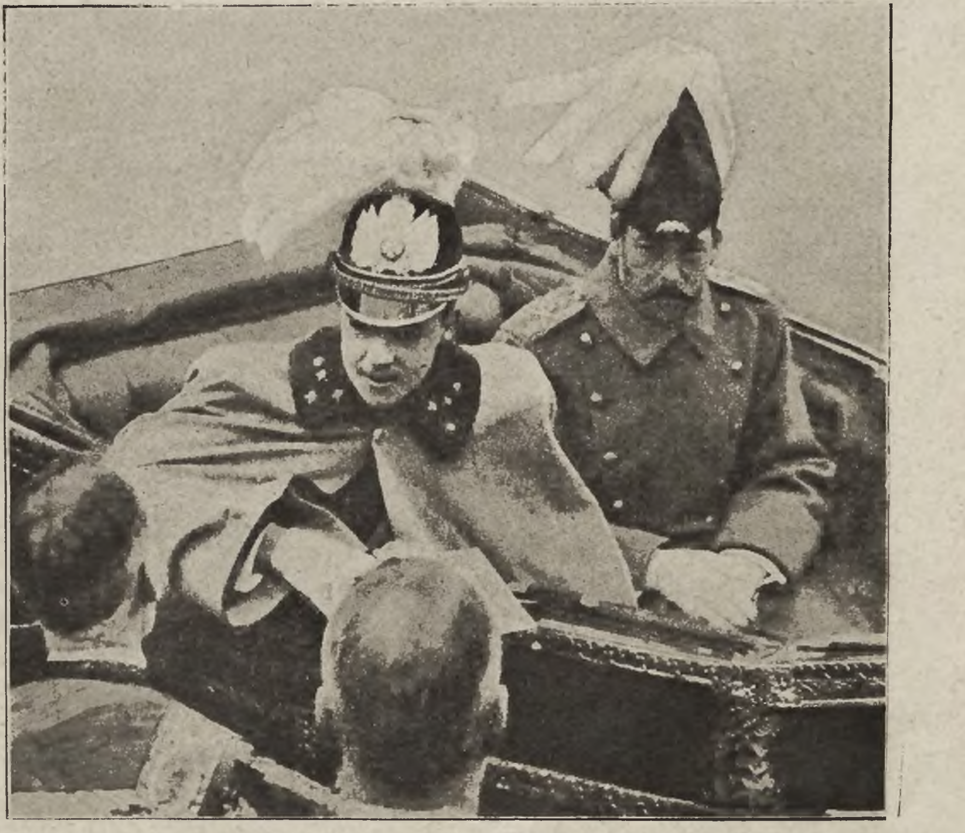


Przewrót w polityce podatkowej Anglii: Minister skarbu Loryd George.

Szkoła gospodarstwa domowego.

W dzisiejszych czasach, w czasach wyegzaltowanej emancypacyi kobiet, które opanowane fałszywie pojętem hasłem równouprawnienia, podejmują się nie tylko wszelkich zajęć, nieodpowiadających naturze i powołaniu kobiety, ale rzucają się w zawrotny wir walk politycznych, jest niewątpliwie objawem wielce sympatycznym dążenie pewnych przynajmniej sfer społeczeństwa, aby młodemu pokoleniu kobiet polskich wskazać właściwe powołanie i przysposobić do należytego wypełniania przyszłych obowiązków żon i matek.

Ważne to zadanie spełnić ma pierwsza w Krakowie szkoła gospodarstwa domowego, założona właśnie i otwarta w ubiegłą niedzielę, a przeznaczona dla uczenic szkół wydziałowych. Wprawdzie i obe-



Król portugalski w podróży: Król Manuel w towarzystwie następcy tronu angielskiego księcia Walii Jerzego.

cnie uczą się dziewczęta gospodarstwa domowego, ale nauka ta była dotąd tylko teoretyczna. Nowozałożona szkoła zaznajomić ma uczenice z najważniejszemi zasadami gotowania praktycznie, w kuchni. Uczenice same będą gotować obiady a następnie je spożywać.

Szkołę gospodarstwa domowego założono z funduszów gminy m. Krakowa, a z inicyatywy sekcyi szkolnej, gdzie referentem tej sprawy był prof. dr. Wasung. Kierownictwo powierzono p. Makolondrzance, która ukończyła specyalny kurs gospodarstwa domowego w Wiedniu.

Lokal szkoły gospodarstwa mieści się w budynku przy ul. Pędzichów l. 15. Najważniejszą ubikacyę stanowi obszerna bardzo kuchnia, z kilku piecami kuchennymi zwyczajnymi i gazowymi. Są tam dalej szafy z naczyniem, stoły i t. d., słowem całe uposażenie kuchni. Na razie uczęszczać tam będą na naukę uczenice czwartej i piątej klasy wydziałowej szkoły na Kleparzu i pod Wawelem. Każda klasa ma przeznaczony jeden dzień w tygodniu.

Jak wspomnieliśmy, otwarcie szkoły nastąpiło w ubiegłą niedzielę przed południem. Z ramienia rady miasta Krakowa przybyli prezydent dr. Leo i wiceprezydent dr. Szarski, oraz grono radców miejskich, posłów, członków rady szkolnej, a dalej zapisane do szkoły uczenice wraz z swemi nauczycielkami. Poświęcenia szkoły dokonał ks. katecheta Kraupa.

Nauka regularna rozpoczęła się w poniedziałek.

Kobieta nurek.

Niema dziś — zdaje się — pola, na któremby kobiety nie próbowały swych sił. Na lądzie zdobyły już wszystkie posterunki, które dotąd traktowało się jako wyłącznie dla mężczyzn dostępne, wkroczyły zwycięsko i pod powierzchnię ziemi, bądź jako inżynierki, bądź jako robotnice w kopalniach, opanowały wodę i kierują statkami jako dyplomowane kapitanki, wreszcie podbiły i powietrze, a urocza panna de Laroche jest nietylko znaną, ale i wybitną awiatorką.

Ale nie na tem koniec. Czy wrodzona córom Ewy ciekawość, czy też żądza opanowania dalszych terenów pracy, popycha je jeszcze dalej. Oto znalazła się kobieta, uprawiająca zawód nurka. I jaka kobieta? Młoda, piękna, urocza Amerykanka, miss Bolton. Popisuje się ona obecnie w Berlinie, występując w specyalnym kostyumie. Produkcye swe wykonywa ona w dużym, o szklannych ścianach basenie z wodą; produkcye to bardzo interesującą, zwłaszcza że urocza miss wykonywa je z wielkie precyzyą i wdziękiem. To też Berlińczycy tłumne odwiedzają przedsiębiorstwo, które urządza występy miss Bolton i chętnie opłacają dość wysokie ceny wstępu, byle niezwykłego nurka i interesujące produkcye zobaczyć.



Muzykalni kolejarze: Chór kółka urzędników kolei w Krakowie z dyrygentem p. Mendochą w pośrodku.



Muzykalni kolejarze: Orkiestra kółka urzędników kolei w Krakowie, z dyrygentem dr. L. Soleckim w pośrodku.

A. K. Green.

Który z nich?

12 (Ciąg dalszy).

— Czy to było wino, co mu przyniósł Lionel i co wylał, ponieważ zauważył, że ma smak trucizny... trucizny tak gwałtownej, iż go powaliła, mimo iż tylko część jej użył? To pytanie nasuwa się tutaj. Niech pani odpowie sobie na nie według tego, co pani wie o swoim wuju i jego synach.

Sądziłem, że Genowefa chwyci się rozpaczliwie wątpliwości, jaką zdawało to pozostawiać to ostatnie zdanie. Nie uczyniła jednak tego. Zadowoliła się tą tylko odpowiedzią:

— Znałam dobrze swego wuja. Był to człowiek prawy, który nawet w niebezpieczeństwie zachowywał zimną krew. Nigdy nie napisałby pod moim adresem „jeden z mych synów“, jeżeliby jaki nowy dowód nie potwierdził pierwotnego jego mniemania. Pewne jest, że trucizna znajdowała się w winie, które mu podał Lionel. Jest to fakt, który choćby najwięcej to nas kosztowało, należy uważać za dowiedziony.

Zdumiony byłem spokojem młodej panny. Zdawało się, iż podtrzymuje ją od kilku minut jakaś tajemna myśl, której nie mogłem odgadnąć, a jeszcze mniej zrozumieć. Nagle w oczach jej zamalowała się znowu obawa i przestrach.

— Lecz w takim razie — zawołała, drżąc cała — to był Lionel, którego ręka zbliżyła się w ciemności do szklanki mego wuja! Więc to jego była ta chwiejna i mordercza ręka, której wizya trapi mnie dzień i noc od chwili, gdy o tem mówił mój wuj. Straszne! Okropne! Biedny Lionel!

Zakrywając sobie twarz rękoma, zaczęła łkać żałośnie, podczas gdy ja patrzyłem na nią osłupiały. Nie rozumiałem jej wcale. Możnaby powiedzieć, że płakała raczej nad Lionelem, niż nad sobą. W każdym razie nie okazywała najmniejszej odrazy, jaką wzbudzić winno tak wstrętne zdeprawowanie.

— Zdaje mi się, że teraz pojmuję — szepnęła raczej do siebie, niż do mnie. — Myśl ta przychodziła mi już nieraz. Naprzykład, gdy widziałam na jego twarzy oznaki ogromnego, prawie szalonego niepokoju, ciągle wzrastającego aż do chwili, gdy nas opuszczał bez najmniejszego słowa pożegnania lub wytłómaczenia, by powrócić dopiero po kilku dniach, a nieraz i kilku tygodniach. Jest to myśl dziwna, prawie nieprawdopodobna, lecz ona tylko mogłaby wytłómaczyć zbrodnię, której pogodzić nie można z charakterem mych kuzynów. Czy ośmielę się mówić panu o niej? Może to będzie ocaleniem Lionela. W każdym razie jest to jedyne tłómaczenie, jakie mogę znaleść dla niego.

— Pani spodziewa się więc ciągle? — zapytałem, wiedząc, jaka będzie jej odpowiedź.

Cała szlachetność charakteru okazała się w jej słowach.

— Nie mogę czynić inaczej — szepnęła. — Będzie potrzebował wkrótce mej pomocy, jeżeli nie mego uczucia, gdyż wiem, co znaczą te straszne sprzeczności. Rozumiem je. Rozumiem nawet tę ohydną zbrodnię, której może stał się winny. Prawdą jest to, iż jest chory. Cierpi na dwoistość osobowości. Prowadzi, według pańskiego wyrażenia, podwójne życie. Występek nie jest jego stanem normalnym. Jego prawdziwy charakter jest dobry, szlachetny, litościwy. Gdy czyni źle, wtedy równowaga jego władz umysłowych jest naruszona. Nie jest to nowy wynalazek; uczeni znają już go. Pan sam musiał słyszeć o ludziach, dotkniętych podobnem cierpieniem.

— Obawiam się, czy sąd zadowoli się tak romantycznem tłómaczeniem — nie mogłem oprzeć się, by nie zauważyć tego.

Jakby nie słyszała mego domysłu, mówiła dalej z rozrzewniającą ufnością:

— Niech pan pomówi o tem z doktorem Bressantem. Zna mego kuzyna prawie od urodzenia. Niech pan zapyta go, co mogą znaczyć te widoczne zmiany u człowieka, którego naturalne skłonności były zawsze dobre. Dlaczego ten wzorowy ojciec i syn, d znawał nagłych napadów, to podczas obiadów, tonznowu siedząc przy kominku z swą córką na kola ach. Dlaczego głuchy na wszelkie uwagi i prośby otoczenia, wstawał niespodzianie i wychodził z domu, wracając dopiero wówczas, gdy poczuł, że może znieść spojrzenia domowników. Myślałam chwilami — kobiety lubią łudzić się iluzyami, że go popycha do tego jakieś inne uczucie, że zniecierpliwiony staraniem się o mnie Jerzego i Alfreda, lękał się, że nie zdoła pohamować się, że usuwał się z obawy zdradzenia się wobec wszystkich ze swą zazdrością. Przypuszczałam to, lecz widzę teraz, że to, co go popychało do czynów tak dziwacznych i niezrozumiałych, było przeczuciem kryzysów, w czasie których staje się on bez wątpienia nieodpowiedzialny za wszystko, co robi wówczas.

— Zdaje mi się, że pani nie jest dobrze poinformowana o ostatnich wynikach nauki o hypnotyzmie. Jest prawie stwierdzone dzisiaj, że niemożebnem jest dokonanie jakiegokolwiek czynu, do którego nie byłoby się poprzednio usposobionym. Nie upieram się jednak. Pragnę tylko jednej rzeczy, a mianowicie oszczędzenia pani wszelkiego zmartwienia i cierpienia. Ponieważ życzy pani sobie tego, zobaczę się z doktorem Bressantem...

— Lecz pan nie przypuszcza, by podzielił on moje zdanie, co do stopnia winy Lionela?

— Lękam się, że nie podzieli on go.

— W takim razie — zawołała z miną zdecydowaną, z której przekonałem się, jak mało mam na nią wpływu, gdy chodzi o jej miłość — niech się dzieje wola nieba! Panie Maujean, odkryłam panu głębię swego serca. Niech mi pan przyniesie dowód, że ten człowiek jest dobry z natury, ma się rozumieć, gdy zły duch nie owłada nim, a będę pana błogosławiła aż do końca swych dni. Lecz jeżeli się pomyliłam co do niego — przy słowach tych zbladła i zachwiała się — och! wtedy niech pan nie spodziewa się, bym to przeżyła. Ja... ja nie będę mogła...

Dylemat był okrutny. Nie rozumiałem wówczas, jak ona mogła mieć nadzieję, w jaki sposób ja mogłem dokonać tego cudu. Nie chcąc jednak wypuścić jej bez błysku nadziei, chociażby najsłabszego, rzekłem jej, że jeżeli zwrot opinii zajdzie na niekorzyść Lionela, dołożę wszelkich starań, by teoryę jej zastosowano w tym wypadku. Z tą obietnicą i napozór spokojniejsza opuściła mnie, ja zaś zabrałem się do czytania przerwanego kontraktu.

Hipoteza Genowefy była dość romantyczną. Mimo to wywarła ona pewne wrażenie na mym umyśle i uważałem ją za możliwą, gdy rozkładałem wieczorne dzienniki, by przeczytać ostatnie szczegóły o „sprawie Hardych“.

Pierwszy artykuł, jaki wpadł mi w oczy, stwierdził niezbicie, że był już wielki czas przestrzedz pannę Saugey o grożącem Lionelowi niebezpieczeństwie.

„Dowiadujemy się, iż można oczekiwać wkrótce nowych niespodzianek w tej przejmującej sprawie. Okazuje się, że Lionel Hardy uważany dotychczas za najgodniejszego z trzech braci, posiada już od lat kilku małą willę w Asnieres, gdzie odbywają się sceny, które nikogoby nie zbudowały...“

Tu następowały znaczące aluzye do kobiety, imieniem Anita, zwanej także Nini szalona. Niżej znajdowało się powtórzenie opowiadania młodego Rozentala. Artykuł kończył się temi słowami:

„Sędzia śledczy zajęty jest obecnie wyprowadzaniem na jaw tych dziwnych i sprzecznych często z sobą faktów. Pewnem jest, że znajdujemy się w przeddzień aresztowania, które wielu zadziwi...“

Złożyłem starannie dziennik, schowałem go do kieszeni i udałem się zaraz do doktora Bressanta. Nie widziałem tego zacnego lekarza od chwili wspólnego nas badania przez sędziego. Widok jego obudził we mnie wspomnienie dramatycznych scen tego pamiętnego dnia. Z początku nie zrobiłem najmniejszej aluzyi co do przejmujących mnie myśli, pierwsze też nasze słowa były zupełnie banalne:

— Przypuszczam, że nie jako pacyenta mam przyjemność pana widzieć u siebie — rzekł mi po chwili.

Potrząsając przecząco głową, wyjąłem z kieszeni dziennik i wskazałem mu artykuł, odnoszący się do Anity.

— Czy pan spodziewał się kiedy czegoś podobnego? — zapytałem. — Mówię o tem jedynie ze względu na pannę Saugey, która pokłada ciągle w nim bezgraniczną ufność.

Przebiegł oczyma tę wiadomość, zmarszczył brwi i odparł mi oburzonym tonem:

— Nie posądzam o to Lionela. Z trzech braci on z pewnością winien być poza wszelkiem podejrzeniem. Niezdolny jest do zbrodni, niezdolny nawet do tego, o co go obwiniają. Znam go od urodzenia.

— Cieszy się on doskonałą reputacyą — przyznałem. — Widziano, jak nieraz nie szczędził ani siebie, ani swej kieszeni, gdy chodziło o pomoc dla biednych i cierpiących. Bywają jednak ludzie, świadczący bardzo wiele dobrego, a mimoto oddający się świadomie złym nałogom. Lionel Hardy jest jednym z takich. Ta historya z małym domkiem w Asnieres nie jest kłamstwem.

Dobry doktór, oddany duszą i ciałem rodzinie Hardych, tak uczuł się dotkniętym tem twierdzeniem, iż mnie samemu było to przykre. Wierzył on zupełnie w mą szczerość, mimoto zaciekawiony był, skąd czerpię swe szczegóły, czy przypadkiem nie z jakiego mętnego źródła, wskutek czego informacye moje straciłyby wiele na swej doniosłości. Chciałem już mu udzielić niezbędnych wyjaśnień, gdy sam się odezwał.

— W Lionelu zawsze mnie niepokoiły pewne rysy charakteru, trudne do ocenienia. Z pewnością, że nie roszczę sobie pretensyi do zrozumienia ich, ani do obrony wybryków jego, które zupełnie słusznie ganił pan Hardy, mimo to jestem pewny, że nikt nie dopatrzył się w nim jakiegoś większego nałogu, ani nie był świadkiem jakiegokolwiek niecnego jego czynu. Mogę odpowiadać za niego, jak za siebie.

— Pan jest najzupełniej podobny w tym względzie do panny Saugey — odparłem. — Ona również wierzy w niego, a przynajmniej łudzi się, że wierzy. Musiała jednak uznać prawdziwość tej historyi; fakty, które ją stwierdzają, nie mogą podlegać wątpliwościom.

I bez żadnych osłonek opowiedziałem mu wszystko, co wiedziałem o stosunkach Lionela z matką Lepic i nieszczęśliwą Anitą. Wniosek, jaki z tego można było wysnuć, był tylko ten, iż albo Lionel jest uosobieniem hipokryzyi, albo też cierpi na jakieś zboczenie umysłowe, podobne do opisanego przez Genowefę.

Zapytałem go, co myśli o tej nowej hipotezie.

— Jak doktór sądzi, czy można przyjąć na seryo podobną teoryę? Nie jest on jeszcze aresztowany, zdaje mi się jednak, że wkrótce to nastąpi. Przyjaciele jego winni już zawczasu przygotować się na to.

— Jest to kwestya, na którą nie mogę odpowiedzieć zaraz bez głębszego zastanowienia się — rzekł doktór, przechadzając się nerwowo po swym gabinecie. — Nie zauważyłem w nim nic takiego, coby mogło zrodzić podejrzenia, co do jego stanu umysłu. Czy panna Saugey jest odmiennego zdania?

— Uważa go za człowieka, dotkniętego peryodycznemi zaburzeniami umysłowemi, lub inaczej cierpiącego na dwoistość osobowości.

— Dziwi mnie to. Skąd ona może wiedzieć o tych tak rzadkich wypadkach? Wyobraźnia uniosła ją za daleko, jeżeli doszukuje się podobnych tłómaczeń dla jego wybryków. Zdradza się przez to z widoczną słabością dla Lionela.

— Tak, lecz narazie nie o to chodzi, a raczej o jej dziwne przypuszczenie.

— Dziwne, potwierdził doktór, ale nie niemożliwe.

Zdawał się być zagłębiony w swych myślach.

— O co się pan mnie pytał przed chwilą? — rzekł po kilku minutach. — Czy te niezwykłe objawy, które nas obecnie zajmują, okazały się u niego przed śmiercią żony? Nie, nie zdaje mi się. Był zamknięty w sobie, lecz widać było, że to go bardzo boli. Głęboko odczuwał nieporozumienia, jakie panowały między nim a ojcem z powodu jego małżeństwa. Pan zapewne słyszał o tem małżeństwie?

— To tylko wiem, iż było ono bardzo nieszczęśliwe i że doprowadziło ono, jak pan nadmienił, do naprężonego stosunku między ojcem a synem.

— O to właśnie chodziło — przyznał lekarz z westchnieniem. — Tak, to wszyscy odczuwali, iż nawet przyjaciele Lionela doznali pewnej ulgi na wieść o śmierci jego żony. On zaś od tego czasu zmienił się zupełnie. Ubóstwiał poprostu swą żonę, a boleść jego była o tyle okrutniejszą, iż nie znajdował u nikogo współczucia. Ojciec nie pozwalał nawet wymawiać przy sobie imienia zmarłej, Klara zaś za małą, na szczęście, była, by mogła pamiętać swą matkę.

Te ostatnie słowa, wymówione prawie szeptem, nasunęły mi całą masę przypuszczeń, któremi jednak nie mogłem się zadowolić. Zapytałem więc:

— Czy śmierć pani Hardy zaszła w jakich specyalnie przykrych okolicznościach, jeżeli wywarła na Lionelu tak silne wrażenie?

Zamiast odpowiedzi, doktór wyjął z szuflady biurka zwitek papierów, które zaczął przeglądać. Po chwili podał mi jakiś dość długi wycinek z gazety.

— Powody, dla których zachowałem ten artykuł, pozna pan z jego treści.

Wziąłem wycinek i przystąpiłem odrazu do czytania go. Było to opowiadanie maszynisty o strasznym wypadku, jaki zdarzył się przed kilku laty na linii kolejowej między Villefranche a Lyonem.

„Wjechaliśmy na małą stacyę Saint-Ger

main, gdzie winniśmy byli przejść na inny tor, by przepuścić pociąg kuryerski. Wskutek złego manewrowania odczepił się z końca jeden wóz i wagon trzeciej klasy i oba wozy zaczęły szybko toczyć się po pochyłości. Krzyk smarownika zwrócił mą uwagę na wypadek. Dałem zaraz kontrparę. Konduktor dawał mi rękoma rozpaczliwe znaki. Domyśliłem się, że hamulec jego przestał funkcyonować.

Kuryer lada chwilę miał nadejść; zbliżał się z szybkością przeszło ośmdziesięciu kilometrów na godzinę. Przewidywałem już katastrofę, jaka musi nastąpić, jeżeli nie zdołam dogonić uciekających wagonów. Nadomiar nieszczęścia z Saony podnosiła się gęsta mgła. Nie można było nawet marzyć o tem, by maszynista z kuryera spostrzegł zawczasu przeszkodę, zagradzającą mu drogę.

Tymczasem doganiałem już oba wagony; konduktor gotów już był do przyczepienia ich do reszty pociągu. Po chwili krzyknął mi, bym zwolnił biegu, gdyż inaczej nie mógłby dokonać tego manewru. Z lekkiego szarpnięcia poznałem, że bufory zderzyły się. Zatrzymałem pociąg. Lecz ku mej rozpaczy wagony potoczyły się dalej. Konduktorowi nie udało się zczepienie.

Należało nanowo zaczynać. Tymczasem pasażerowie zaczęli wysuwać głowy przez okna, domyślając się, iż coś się dzieje w nieporządku. Na platformie dworca stał jakiś młody, mniej więcej dwudziestopięcioletni mężczyzna i widział pierwszą daremną próbę połączenia pociągu. Zrozumiał niebezpieczeństwo i gotował się pomódz konduktorowi. Dzięki jego udziałowi zdołano w istocie za drugim razem przyczepić oba wagony.

Spieszyłem się cofnąć na inny tor jak najprędzej, gdy nagle rozległ się świst gwizdawki, znamionujący, że za kilka chwil kuryer najedzie na nas. Czy ale zdążę dojechać do zwrotnicy? Byłoby to jedyne nasze zbawienie. Dałem całą parę, by dotrzeć do tego naszego schroniska, coraz głośniejszy jednak szum, przedzierający się przez mgłę, zwiastował mi nieuniknioną zgubę. Jedna minuta, półtorej minuty. Cały wiek. Wreszcie czuję pod nogami lekkie chwianie się maszyny przy przyjeżdżaniu na inne szyny, w tej jednak chwili zajaśniały przedemną w zmroku dwa wielkie światła. Wielka maszyna pociągu kuryerskiego wpadła z ogłuszającym łoskotem na końcowe me wagony. Ujrzałem, jak wzbiła się wysoko, jakby chciała jednym skokiem przebyć tę zagrodę, poczem wszystko zwaliło się; uderzenie udzieliło się i mojej maszynie i poczułem, że lecę gdzieś w przepaść.

Gdy ocknąłem się, zobaczyłem, że leżę na materacu w poczekalni dworca, który zamieniono na tymczasowy szpital. Szczęśliwym trafem dla mnie, z wypadku tego wyszedłem tylko ze złamaną ręką i silnemi kontuzyami w głowę, ogólny zaś bilans tego strasznego dnia stanowiło piętnastu zabitych i przeszło pięćdziesięciu rannych. Człowieka, dzięki którego przytomności umysłu i odwadze uniknęlibyśmy tego nieszczęścia, gdyby kuryer nadjechał o pół minuty później, już potem nie widziałem, ani nie dowiedziałem się jego nazwiska. Zapewne zginął sam jako ofiara swego poświęcenia...“

Artykuł ten kończył się spisem zabitych i rannych pasażerów. W pierwszym rzędzie figurowało nazwisko pani Lionelowej Hardy, pięknej synowej amerykańskiego milionera Hardy'ego.

Drżącą ręką oddałem wycinek ten doktorowi Bressant. Byłem tak wzruszony, jakbym sam doznawał wszystkich wrażeń dzielnego maszynisty.

— Jak to się stało — zapytałem — że pani Hardy sama zginęła w tym wypadku. Czy mąż nie był razem z nią?

— Nie i to jest właśnie jeden z ciekawszych szczegółów w całej tej sprawie. Nie było go w pociągu. Żona miała przyjechać do niego do Bourboule, gdzie bawił już od tygodnia. W tym też celu opuściła Paryż. Zdawać się może, iż on jakby cudem znalazł się zaraz na miejscu katastrofy. Ci, co go tam widzieli, twierdzili, iż jak Herkules pracował wśród złomów wagonów. Wreszcie znalazł ją. Była martwą. Wtedy przestał pracować, co zresztą łatwe było do zrozumienia. Czyż można wystawić sobie coś bardziej strasznego od takiego odkrycia? Czyż można przypuścić, by taki cios nie wywołał w jego umyśle ujemnych następstw?

— W istocie, podobna scena, choćby nie dotyczyła nas osobiście, może wywrzeć na nerwy jak najgorszy wpływ, który potem odczuwa się przez długie lata. Proszę też wybaczyć mi, że tak bardzo podtrzymywałem swą tezę: opowiadanie maszynisty nasunęło mi nowe przypuszczenie. Jak to się stało, że Lionel w tak odpowiedniej chwili znalazł się na miejscu katastrofy, bo przecież nie zdążyłby przybiedz z Bourboule. Wynika z tego, iż musiał znajdować się gdzieś w sąsiedztwie, gdy zdarzył się ten wypadek.



Przypuszczam, że nie jako pacyenta mam przyjemność widzieć pana u siebie.

— Pytanie to nieraz sobie zadawałem, nie mogłem jednak dać sobie na nie zadawalającej odpowiedzi. Już dawno doszedłem do tego samego rezultatu, co i pan. Faktem jest, iż stwierdzono jego obecność natychmiast, jak tylko rozwiał się dym i para z maszyn. Lecz co się panu stało? Wydaje się pan wzruszony. Czy nowa jaka myśl zjawiła się panu?

Usiłowałem mówić spokojnie, prawda jednak nakazuje wyznać, że wcale mi się to nie udało.

— Tak! — zawołałem — dziwna, przejmująca myśl. A jeżeli tym młodym człowiekiem, który pośpieszył na pomoc przy zczepianiu pociągu, był właśnie Lionel Hardy? Jeżeli postępował tak, będąc przekonany, że w kuryerze znajduje się jego ubóstwiana żona? Co pan o tem sądzi?

Wzruszenie doktora dorównywało mojemu.

— To możliwe — rzekł. — Nigdy nie mogłem sobie wytłómaczyć jego w porę tam obecności, ani tajemnicy, jaką z tego czynił.

— Swego tłómaczenia nie podaję jako fakt stwierdzony, lecz tylko jako możliwą do przyjęcia hipotezę. Cios, jaki on zniósł z powodu tragicznej śmierci swej żony, aż nadto starczył do wywołania zmiany charakteru u człowieka najzdrowszego na umyśle.

— Pewnem jest, iż z tą chwilą przestał być takim, jakim był poprzednio.

— Ile czasu upłynęło po katastrofie, zanim go pan znowu widział.

— Nie więcej nad dwa dni. Zawezwał mnie telegraficznie do Saint-Germain i zaraz się tam udałem, by pomódz mu w sprowadzeniu ukochanych zwłok do Paryża. Przypominam sobie, że zastałem go w takiem podrażnieniu nerwowem, iż zaczęło mnie to niepokoić. W gruncie rzeczy było to zupełnie naturalne. Po pogrzebie zdawał się zwolna uspokajać.

— A mała Klara? Nic pan o niej nie wspomina. Gdzie ona się wówczas znajdowała? Czy była razem z swymi rodzicami?

— Nie. Nie miała jeszcze dwóch lat. Zaledwie została odłączona od piersi, zajął się nią zaraz dziadek. Wychowywał ją przy sobie. Może zaledwie raz lub dwa razy widziała swą matkę od urodzenia.

Chciałem zapytać się dobrego doktora o powody tej jawnej wrogości u człowieka tak zacnego, jakim był pan Hardy, widząc jednak, że mnie do tego wcale nie zachęca, zadowoliłem się temi tylko słowami:

— Wreszcie zdobyliśmy pierwszy dowód na wypadek, gdyby trzeba było dowodzić niepoczytalności Lionela, lecz tego było za mało. Nierówność jego postępowania ma bardzo wiele podobieństwa z wybrykami człowieka, którego nic nie może powstrzymać.

— Nie podzielam w zupełności pańskiego zdania. W swym normalnym stanie Lionel okazuje wiele altruizmu. Sprawę tę jednak postaram się zbadać bez zwłoki. Pół godziny rozmowy z nim wystarczy mi do przekonania się, czy jest on rzeczywiście chory na umyśle, czy też tylko stał się ofiarą swych wyuzdanych namiętności i morderczych skłonności.

Przy słowach tych zacny doktór powstał, gotując się do natychmiastowego wyjścia.

— Ależ, doktorze, pan jeszcze nie jadł obiadu!

— Nie jestem głodny.

Odprowadziłem doktora aż do rogu ulicy, gdzie się z nim pożegnałem. Dałbym wiele za możność wejścia razem z nim do pałacu Hardych, ponieważ jednak nie mogłem nawet marzyć o tem, zawróciłem w przeciwną drogę i udałem się do siebie.

W jaki sposób w trzy kwadranse potem, w chwili, gdy zapalano latarnie na ulicach, znalazłem się na avenue Champs Elysées w pobliżu domu, do którego postanowiłem nie podchodzić, tego sam nie wiem.

Przez całe popołudnie była nadzwyczaj przykra pogoda, a od kilku chwil zaczął padać drobny, przenikliwy deszcz, mało zachęcający do spacerowania po trotoarze. Rozglądałem się dokoła, szukając jakiego schronienia i wreszcie dojrzałem po drugiej stronie avenue nowobudujący się dom, gdzie znalazłem pod rusztowaniem ucieczkę przed deszczem i doskonały widok na główny podjazd do pałacu Hardych.

Zaledwie stanąłem na tem miejscu, gdy przez avenue przebiegł szybko jakiś mały chłopiec z listem w ręku, oglądając się na wszystkie strony, jakby się bał, by go kto nie zatrzymał.

Zauważyłem również niespokojną minę, z jaką siłą prawie wsunął ten list do ręki wahającego się Mateusza, który na znak dzwonka zjawił się przy wejściu. Wskutek zamknięcia natychmiast drzwi, nie mogłem zaspokoić swej ciekawości. Gubiłem się w domysłach, co mogło znaczyć to tajemnicze wręczanie listu. Zanim jednak zdążyłem odprowadzić wzrokiem do rogu avenue Antin uciekającego chłopca, gdy drzwi pałacu otworzyły się znowu i wyszedł z nich doktór Bressant.

Gdybym nie był świadkiem dziwnego zachowania się oddawcy listu i wahania się starego Mateusza, nie śmiałbym zdradzić swej obecności przed doktorem z obawy, by nie posądził mnie o szpiegowanie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Katastrofa aeroplanu w Warszawie.

Wzloty aeroplanu bar. de Catersa na polach Mokotowskich w Warszawie zakończyły się w ubiegłym tygodniu katastofą, z której bar. de Caters tylko dzięki swej nadzwyczajnej przytomności umysłu i odwadze wyszedł z życiem.

Wypadek zaszedł w trzecim dniu popisowych wzlotów, urządzonych, jak i poprzednie zresztą, w warunkach bardzo niepomyślnych. Nie tylko bowiem panował silny wiatr, ale padał gęsty śnieg, który



Katastrofa aeroplanu w Warszawie: Piloci barona Catersa.

pokrył ziemię grubą warstwą gęstej, lepkiej masy. Nieustraszony aeronauta postanowił mimo to dokonać wzlotu, który też w początkach powiódł się zupełnie dobrze. Wcale pięknie wypadły nawet zwroty *virage*.

Tymczasem gdy bar. de Caters zwrócił się ku polu Mokotowskiemu i dostał się za baryerę toru, silny podmuch wiatru zmusił go do obniżenia lotu. Równocześnie zaś ujrzał w odległości kilku zaledwie metrów od siebie konnego policyanta. Bojąc się tedy, by uderzenie ciężkiego aeroplanu nie zabiło przedstawiciela bezpieczeństwa publicznego, opuścił ster i całą siłą spadł na parkan. Był jednak przytem na tyle przytomny, że zamknął motor i sam z maszyny zeskoczył. Uratował tem siebie, ale nie uratował maszyny, której pewne części rozbiły się na drobne kawałki. Motor ocalał.

Publiczność, przypatrująca się wzlotowi, myślała początkowo, że bar. de Caters poniósł śmierć na miejscu, kiedy też go ujrzała zdrowego i całego, powitała go hucznymi oklaskami.

Bar. de Caters ma nadzieję, że w przeciągu tygodnia uda mu się przy pomocy własnych monterów aeroplan przyprowadzić do ładu i dokonać zapowiedzianych w Konstantynopolu wzlotów popisowych.



Katastrofa aeroplanu w Warszawie: Szczątki rozbitego aeroplanu.

Strajk adeptów sztuki.

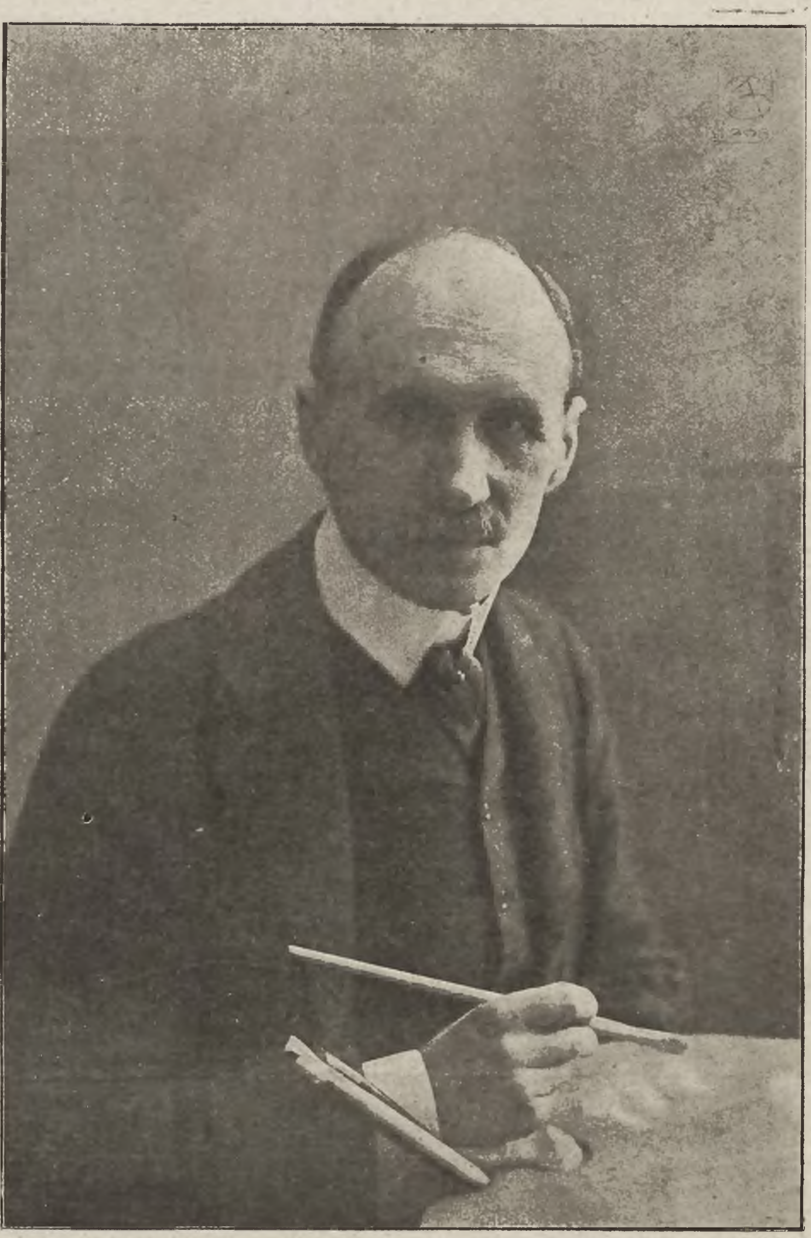
Jedyna polska szkoła sztuk pięknych, Akademia w Krakowie, została w tym tygodniu zamknięta. Nastąpiło to skutkiem strajku jej uczniów, którzy wobec niesłychanych braków w urządzeniach szkoły i macoszego jej traktowania przez rząd, postanowili wstrzymać się od pracy, w nadziei, że w ten sposób zwrócą na całą sprawę uwagę społeczeństwa i miarodajnych sfer, oraz że zmuszą tem niejako kierownictwo szkoły, a pośrednio ministerstwo oświaty do zajęcia się brakami instytucyi i zaradzenia im w najkrótszym czasie.

Nie można odmówić słuszności żalom młodzieży, studyującej w krakowskiej Akademii sztuk pięknych. Uposażenie jej jest nietylko bardzo skąpe i w porównaniu z uposażeniem takiej n. p. Akademii wiedeńskiej wprost śmieszne, ale i nie odpowiada ani dzisiejszemu poziomowi nauki, ani frekwencyi szkoły. Pod wielu względami stosunki tam panujące nazwać można skandalicznymi. Brak kilku katedr ważnych, brak modelów, brak środków naukowych, a przedewszystkiem brak sal odpowiednich i stąd niesłychana ciasnota, uniemożliwiająca jakąkolwiek porządną pracę, oto smutny obraz stosunków, panujących obecnie w krakowskiej Akademii.

Młodzież od dawna skarżyła się już na braki szkoły. Niezliczone petycye i memoryały szły od niej do kierownictwa szkoły, podnoszono w nich konieczność reform— ale napróżno. Władze były głuche na utyskiwania młodzieży. A kiedy i w tym roku nic się nie zmieniło na lepsze, kiedy niesłychana ciasnota nadal uniemożliwiała pracę, młodzież postanowiła zastrajkować. Strajk wybuchł już przed kilkunastu dniami i objął wszystkie kursy Akademii. Ta solidarność młodzieży jest też dowodem, że w szkole było bardzo źle.

Dyrektor Akademii Julian Fałat, udał się wnet po wybuchu strajku do Wiednia, aby w ministerstwie oświaty zainterweniować w przykrej sprawie. Interwencya ta skończyła się zamknięciem Akademii przez dyrekcyę w porozumieniu z ministerstwem.

Wobec tego młodzież strajkująca wypracowuje obszerny memoryał z przedstawieniem braków Akademii i zamierza zwrócić się z nim do posłów polskich. Należy się spodziewać, że ta droga nie zawiedzie młodzieży i że wreszcie rząd zdecyduje się uczynić zadość skromnym, a tak słusznym żądaniom.



Fot. Kuczyński i Gürtler, Kraków.
Strajk adeptów sztuki: Dyrektor Julian Fałat.

Zamach na wicekróla Indyj.

Indye już niejednokrotnie nabawiły Anglię niemiłego kłopotu. Ruch wolnościowy ogarniał z biegiem czasu coraz to szersze warstwy, a pionierami tego ruchu byli wykształceni Hindusi, którzy po powrocie ze studyów w Europie szerzyli wśród współziomków niezadowolenie z administracyi krajowej.

Z roku na rok wzrastało w Indyach niezadowolenie, a represye rządu odnosiły wprost odwrotny skutek. Rząd angielski odwołał wreszcie znienawidzonego wicekróla Curzona, a posłał tam lorda Minto, wielkorządcę Kanady, który dyplomatycznem postępowaniem umiał uspokoić wzburzone umysły.

Mimo to Indye były nadal terenem całego szeregu zamachów politycznych, a ostatnio zamachem na wicekróla Minto i jego żonę w mieście Ahmedabad. Rzucono nań bombę, która jednak nieszkodliwie eksplodowała, a następnie z tłumu rzucono nań dwie dzidy, z których jedną odbił szablą dragon, a druga trafiła towarzyszącego na koniu wicekrólowi oficera tubylca.

Niezrażony tem lord Minto, podróżuje w dalszym ciągu po większych miastach swego wicekrólestwa



Katastrofa aeroplanu w Warszawie: Publiczność gromadząca się przy rozbitym aeroplanie bar. Catersa. (X) ks. Stanisławowa Lubomirska.

Kronika tygodniowa.

(Wielki Kraków! — Jakie korzyści z tego. — Plan miejski i rządowy uchronienia Krakowa przed powodzią. — Przerobienie sąsiednich gmin na wielkomiejskie kopyto. — O siedzeniu w Radzie miejskiej. — Grunwald. — Jeszcze o Rondlu. — Wojna? — Niefortunny występ generała Asinari. — Czego się od Prus spodziewać? — Wilhelm artysta. — Węgry. — Przesilenie we Wiedniu a Koło polskie. — Jakie korzyści dla nas z sojuszu z Niemcami — Uroszczenia galicyjskich prusofilów).

To, do czego wzdychał każdy przeciętny Krakowianin, stało się nareszcie faktem dokonanym. Wielki Kraków otrzymał nareszcie sankcyę cesarską i wprawdzie tylko na papierze, ale już istnieje, nie obawiając się wcale ataków pana marszałka Czecza i jego adherentów z pod sztandaru konserwy, która choć w ten sposób chciała się zemścić na prezydencie Leu za jego apostazyę. Jakie z tego odniesiemy korzyści, każdy wie dokładnie; ramy kroniki tygodniowej są stanowczo za szczupłe, aby je wszystkie można dokładnie wyliczyć. Okazało się przy tej sposobności, że niektóre pewniki, uznane przez naukę jako zupełnie stanowcze, mają przecież wyjątki, bo i Kraków, choć fizyka powiada, że na zimnie zmniejszają ciała swą objętość, rozszerzył się właśnie w czasie, kiedy na ziemię zawitały pierwsze mrozy.

Wracając jednak do rzeczy, jako prawdziwe dziecko Krakusowego grodu, z dumą obecnie spoglądam na świat cały, gdyż jestem obywatelem Wielkiego Krakowa, który ludnością swoją dorównywa już prawie i naszej c. k. urzędowej stolicy, poważnie rozsiadłej nad brzegami wonnej Pełtwi. Wszystkie narzekania naszych hygienistów, że w Krakowie brak powietrza, stają się obecnie bezprzedmiotowe, rogatki miejskie, przesunięte o kilka kilometrów, ułatwią napływ świeżej aury, która korzystnie musi wpłynąć na zdrowie Wielko-Krakowian. Ruch ludności zyska także niepomiernie na przyłączeniu sąsiednich gmin do Krakowa, odtąd bowiem nie będzie już uważane za mezalians połączenie się dozgonnym węzłem z córą Krowodrzy, Czarnej Wsi lub Kawiorów. Tramwaj krakowski, który prawdopodobnie rozszerzy swą sieć, będzie odtąd jeździć daleko szybciej, mając większy rozpęd, słowem, na każdym kroku widzimy korzyści, jakie teraz staną się naszym udziałem. Jeśli nadto zyska zwolenników plan konserwatora Tomkowicza, który zaproponował, by wał kolei cyrkumwalacyjnej zostawiono i zasadzono go drzewami, będziemy mogli z wyższego punktu widzenia przypatrywać się nowym prowincyom, zaanektowanym przez Kraków i cieszyć się wielkością, powagą i potęgą naszej nadwiślańskiej ojczyzny. Chcą nam wprawdzie zabrać Wisłę i wyrzucić ją z pod Wawelu w głąb Dębnik, mamy jednak nadzieję, że wobec oporu stron interesowanych plan miejski uchronienia Krakowa przed powodzią upadnie, a utrzyma się projekt rządowy, który zostawia Wisłę w dawnem korycie, należycie uregulowanem, co przyczyni się tylko do upiększenia miasta, a nie pozbawi Wawelu ozdoby, bez której jakoś sobie naszej królewskiej siedziby wyobrazić nie możemy. Dziwnie bowiem wyglądałby zamek bez szemrzących u jego stóp fal królowej rzek polskich.

Mieszkańcy zaanektowanych gmin będą mieli już z wiosną przyszłego roku sposobność doświadczenia na swej własnej skórze przyjemności wielkomiejskich, udziałem ich staną się bowiem wodociągi, oświetlenie gazowe, tramwaje, nowe chodniki, asfalty i bruki, co połączone jest z nader przyjemnem rozkopaniem ulic, dróg i placów. Jeśli w tamtą stronę wytęży się energia miejskiego urzędu budowniczego, my, mieszkańcy starego Krakowa. bodaj przez rok będziemy mieli spokój i nie będziemy narażeni na łamanie sobie odnóży i rozbijanie nosów na kupach kamieni i rozkopanych trotoarach. Rada miejska, w skład której wejdą nowe siły, w osobie przedstawicieli gmin przyłączonych, zyska także, choć wówczas sala posiedzeń gotowa się okazać zanadto szczupłą dla ojców, radzących nad jego dobrem, a przyznać trzeba, że obywatele z za rogatek, żyjący na świeżem powietrzu, nie będą się ze względu na swą cielesną objętość kontentować wąskiemi siedzeniami, jakie są obecnie w pałacu Wielopolskich. Chyba, że znajdzie się znowu jakiś mężny rycerz, który wystąpi w ich obronie, jak to mieliśmy przykład na siedzeniach dla sędziów przysięgłych, które, dzięki energii radcy Miedniaka, nareszcie należycie rozszerzono i wyścielono.

Przyszłoroczny obchód rocznicy Grunwaldu będzie już zapewne oglądać Wielki Kraków w całej pełni, czemu tylko można przyklasnąć i w każdym razie zapisać to trzeba na *bene* dla obecnego zarządu miasta, który nie spoczął, aż przedsięwzięcie przyprowadził do skutku.

Wojna panoramowo-rondlowa, która *ex re* przygotowań do rocznicy grunwaldzkiej wybuchła z taką siłą, iż odbiła się nawet na spokoju domowym wielu obywateli naszego grodu, jak to Szanowni Czytelnicy mogli skontatować na losie niżej w pokorze podpisanego kronikarza, jest dziś w tem stadyum, iż absolutnie nie należy się spodziewać, by czynniki miarodajne zgodziły się na wypożyczenie rondla. Ja przynajmniej jestem tego zdania, przeczytawszy wywnętrzenia wszystkich naszych krajowych i rządowych konserwatorów i estetyków, choć z góry się zastrzegam, że sprawy jeszcze ostatecznie nie przesądzam, gdyż w Krakowie trzeba być zawsze przygotowanym na najróżnorodniejsze niespodzianki. Już, już, zdaje się, że ta lub owa sprawa załatwioną została definitywnie, tymczasem w ostatniej chwili, niczem ów starożytny *deus ex machina*, zapada uchwała, zupełnie inna, niż się spodziewano. Projekt, by na panoramę wybudowano osobny budynek, jest bardzo racyonalny. W Wielkim Krakowie znajdzie się dość miejsca, nie braknie także i przedsiębiorczych ludzi, którzy zajęliby się sfinansowaniem projektu. Budynek, po usunięciu zeń panoramy, łatwo bardzo znajdzie jakieś inne zastowanie, a wyłożone pieniądze nie przepadną, owszem oprocentują się bardzo dobrze.

Co jednak ważniejsza, w uroczystym obchodzie przyszłorocznym gotowa nam przeszkodzić wojna, o której tu i ówdzie zaczynają się pojawiać mniej lub więcej niepokojące wzmianki. Sprawa aneksyi Bośni i Hercogowiny, niczem tasiemiec, ciągnie się i sprawia kłopoty austryackim politykom, którzy nie mogąc sobie dać rady z uporządkowaniem stosunków wewnętrznych, nie mogą też uporać się i ze zewnętrznymi. Serbia jeszcze nie przebolała swej dyplomatycznej porażki i od czasu do czasu potrząsa groźnie mieczykiem, a dzielnie sekundują jej Włochy, przypominając sobie nie tak przecież dawne czasy, gdy to, choć dostały po skórze, rozszerzyły się przecież terytoryalnie. Kto wie, czy i teraz nie żywią tych samych nadziei, ale niech pomną, że nadzieja każda jest przecież zwodniczą. Jak zaś sympatycznie usposobieni są Włosi względem swych sprzymierzeńców z trójprzymierza, widzieliśmy z wystąpienia generała Asinari, komendanta korpusu w Brescyi, który na chwilę zapomniał o tem, iż jest żołnierzem i chciał się zabawić w polityka. Pan ów nie kiwał Austryi palcem w bucie, ale wprost pogroził jej pięścią. Wprawdzie debiut się nie udał i pan generał dostał dymisyę, ale tak, jak on, usposobieni są względem Austryi wszyscy Włosi. Generał Asinari w jednej chwili z mało znanego dowódcy korpusu stał się bohaterem narodowym. Hrabiemu Aehrenthalowi nie musiało być bardzo przyjemnie, gdy się dowiedział o głośno objawionych sympatyach sprzymierzeńca, niech się jednak pocieszy, że zwykle sprawdza się przysłowie *nomen omen*, a pan Asinari po polsku nazywałby się Oślakiewicz i jako taki starałby się u nas z pewnością o zmianę nazwiska przez namiestnictwo. I jak tu przypuścić, by w głowie pana Oślakiewicza mógł się zrodzić jaki mądry pomysł?

Jak tam jednakowoż jest, czy będzie, ze sprzymierzonemi Włochami, stwierdzić należy, że obecne położenie Austryi wobec państw ościennych stało się bardzo naprężone, nic też dziwnego, że i zaniepokojenie ogółu staje się coraz większe, do czego przyczyniają się i różne drobne wydarzenia, jak np. ów zamach jakiegoś zbzikowanego truciciela na Bogu ducha winnych oficerów sztabu generalnego. Na jednych Niemców może Austrya jeszcze liczyć jako tako, choć wobec fantastycznego usposobienia cesarza Wilhelma i z tej strony można się zawieść. Cesarz niemiecki, spostrzegłszy, że jego występy polityczne nie cieszą się wcale popularnością i że co krok stąpi, to jakieś głupstwo strzeli, oddał się obecnie całą duszą sztukom pięknym i na tem polu zbiera obecnie zasłużone wawrzyny. Projekt pomnika dla Kopernika we Frauenburgu z „poprawkami“ cesarza przyjął ogół z podziwem i entuzyazmem, Salomonowe jego zdanie w sprawie biustu rzekomo dłuta Leonarda da Vinci, spotkało się z rykiem radosnego zadowolenia wiernych poddanych, wielbiących tak wszechstronny geniusz Jego Cesarskiej Mości. Wobec więc tak wytężających zajęć umysłowych trudno nawet wymagać, aby cesarz zajmował się i polityką, zwłaszcza, że i obecny kanclerz Rzeszy, pan Bethmann Hollweg, jakoś się do niej nie bardzo rwie i łatwo bardzo stać się może, że w decydujących momentach zapomni się w Berlinie o wiernym sojuszniku z nad Dunaju, który, prawdę powiedziawszy, przez wiekowe doświadczenie powinien się był już przyzwyczaić, iż w sąsiedzko-przyjacielskie afekty panów z pod pikelhau by, nie należy bardzo wierzyć, a tem mniej liczyć na nie. Pruska przyjaźń, jak to Austrya doświadczyła już nieraz na swej skórze, kończy się tam, gdzie się kończą i ich interesy.

A i wewnętrzna sytuacya w obu połowach monarchii habsburskiej staje się coraz krytyczniejsza. Przesilenie węgierskie nie może jakoś dobiedz do końca, raz Justh, to znów Kossuth wypływa na powierzchnię, a wszystko kończy się na tem, aby jak największe koncesye zyskać od Korony i to ze szkodą mocarstwowego stanowiska Austro-Węgier, a w szczególności drugiej połowy monarchii. Złośliwi powiadają, że i tu „wierny sojusznik“ umaczał także swe ręce, bo chodzi mu, aby Austryę trzymać ciągle w szachu i przekonać ją, że jej egzystencya bez pomocy Niemiec jest niemożliwą. W czasie swej wizyty w Wiedniu p. Bethmann Hollweg zdradził się, może mimowoli, że bardzo go interesuje, co się dzieje między Dunajem a Cisą i zanadto wyraźnie robił „perskie oko“ do kierowników węgierskiej polityki, jak gdyby chciał im dać poznać, że w Berlinie mogą zawsze liczyć na poparcie, zwłaszcza, że korona świętego Szczepana w sam raz odpowiadałaby rozmiarom głowy któregoś z synów domu Hohenzollernów.

W Wiedniu przesilenie parlamentarne (widać, jest to chroniczna słabość obu połów monarchii) także nie może się jakoś ukończyć, nawet pomoc lekarska najznakomitszego obecnej chwili akuszera politycznego, dra Głąbińskiego, na nic się nie przydaje. Już, już się zdawało, że dzięki jego interwencyi nastąpi wyjaśnienie sytuacyi, obecnie widzimy, że rokowania rozbite, a parlament absolutnie niezdolny do jakiejś pozytywnej pracy. Unia słowiańska godziła się już na uruchomienie Izby posłów, żądając jednak rekonstrukcyi gabinetu, niemieckie stronnictwa ani myślą się na to zgodzić, gdyż baron Bienerth jest dla nich bardzo wygodny, a i on nie marzy także o przejściu w dobrze zasłużony stan spoczynku. Niemcy austryaccy, czując za sobą Koło polskie, które wyciąga dla nich kasztany z pieca, są zanadto pewni siebie i ani im w głowie, by zgodzić się na jakieś koncesye dla narodowości słowiańskich.

Na tej polityce, jaką prowadzi obecnie Koło polskie, wyjdziemy, jak zwykle, jak Zabłocki na mydle. Uroszczenia Niemców, widzących i znających naszą baranią uległość, zamiast się zmniejszać, potęgują się tylko, a pangermańska hydra zaczyna już i w Galicyi podnosić swą głowę, pewna, że znajdzie poparcie kochanych naszych braci z za Sanu, którzy, byle nam zrobić na złość, gotowi narazić na szwank nawet i swe własne interesy.

Nie dość było galicyjskim wszechniemcom, by dopominać się o pomnożenie szkół z niemieckim językiem wykładowym w naszym kraju, obecnie w *Ostdeutsche Rundschau* narzekają na swą krzywdę, iż nie posiadają swego zastępcy w austryackim parlamencie i żądają, *risum teneatis*, ni mniej, ni więcej, tylko czterech mandatów niemieckich do galicyjskiego sejmu. Grożą też nie na żarty, iż jeśli ich uroszczenia nie zostaną uwzględnione, postarają się w Wiedniu, aby nowa ordynacya wyborcza dla Galicyi nie zyskała sankcyi monarszej. Jest to groźba wcale poważna, jeśli się zważy, że ustawy językowe, które wywołały obecne przesilenie parlamentarne, tylko dzięki usilnym staraniom Niemców zostały tak rychło w czyn wprowadzone, że więc opiekunowie galicyjskich prusofilów cieszą się w Wiedniu wielkimi wpływami. Może więc i lepiej, iż nasz Sejm jakoś nie kwapi się z przeprowadzeniem reformy wyborczej, która mogłaby nam zaszwabić naszą najw[illegible]yę autonomiczną. Wiadomo każdemu, jaki to naprzykrzony owad te Szwaby, niech się tylko gdzie zagnieżdżą, żadnym Zacherlinem ich nie wygubisz. *X.*

Muzykalni kolejarze.

(Do illustracyi na stronie 10)

Wśród urzędników krakowskiej dyrekcyi kolejowej jest sporo ludzi muzykalnych, grających bardzo dobrze na rozmaitych instrumentach i muzykę szczerze miłujących. Nie dziw też, że już przed paru laty powstała wśród nich myśl zawiązania orkiestry, którą to myśl udało się też zrealizować.



Wynalazek Krakowianina: Prof. Jan Planecki, wynalazca przyrządu do wydawania pieniędzy.

Ze skromnych początków, dzięki zapałowi i niestrudzonej pracy członków, jakoteż dzięki poparciu szefów dyrekcyi pp. radców dworu, Horoszkiewicza i Zborowskiego, urosła orkiestra w ciągu czterech lat do poważnych rozmiarów i dziś rozporządza zespołem symfonicznym, złożonym z około 40 członków. Dyrygentem orkiestry jest od jej zawiązania się dr. Leon Solecki.

Z uznaniem podnieść należy, iż myślą przewodnią w artystycznej działalności kółka orkiestralnego urzędników krakowskiej dyrekcyi kolejowej jest nie tylko podniesienie zamiłowania do muzyki i jej popularyzowanie, ale również współudział w obchodach narodowych i patryotycznych, bądź w Krakowie, bądź na prowincyi. Niejednokrotnie już przyczyniła się ta doskonała orkiestra do uświetnienia programów tego rodzaju wieczorów, n. p. w Wadowicach, Morawskiej Ostrawie i innych miastach, nie wyłączając Krakowa.

Ostatni koncert odbył się w ubiegłą niedzielę w sali saskiej. Szeregiem wykonanych tam utworów złożyła orkiestra urzędników kolejowych dowód, iż pracę artystyczną pojmuje bardzo poważnie. Zupełne opanowanie stylu danych utworów, doskonałe zgranie się, czystość intonacyi, subtelność w cieniowaniu — oto w krótkości zalety, jakie cechują sympatyczny ten zespół. Zalety te wystąpiły zwłaszcza w uwerturze opery Moniuszki „Hrabina“ oraz w symfonii C-dur Mozarta. To też licznie zebrana publiczność darzyła orkiestrę i jej dzielnego dyrygenta dr. Soleckiego hucznymi oklaskami.

Bardzo dzielnie spisał się na tym koncercie i chór urzędników kolejowych pod batutą p. Mendochy. Chór ten, istniejący od r. 1904, a zawiązany przez inspektora dra Warzeszkiewicza, liczy obecnie około 20 członków czynnych, a 70 wspierających. Występy dotychczasowe, w Krakowie i na prowincyi, zdobyły



Katastrofa pod Slankami: Bł. p. inż. Eliasz Graubart. Eo art. na str. 2.

mu już dużą popularność i sympatyę, tem więcej, że spieszy zawsze chętnie z pomocą komitetom, urządzającym obchody narodowe. Chór urzędników kolejowych występował w Krakowie, Wadowicach, Morawskiej Ostrawie, Suchej, Skawinie, Leżajsku, Brzesku, Krzeszowicach i t. d.

Wynalazek Krakowianina.

We wtorek dnia 23 listopada b. r. odbył się odczyt p. Franciszka Drobniaka, dyrektora kopalni węgli w Brzeszczach, na temat wypłat pieniężnych w kopalniach i fabrykach, poczem demonstrowano nowy wynalazek maszyny do wypłaty pieniędzy, obmyślonej i skonstruowanej przez p. Jana Planeckiego.

Aparat obudził bardzo wielkie zainteresowanie pośród licznie zgromadzonych techników i przybyłych gości, pomiędzy którymi byli: dr. Benis, dr. Epstein, dr. Ader, dr. Rowinski, p. Zawadzki, kasyer Urzędu podatkowego i inni.

Konstrukcya wynalazku p. Jana Planeckiego, pomimo że wykonuje wiele trudnych czynności: za zwykłem pociśnięciem klawiszy i pokręceniem korby sama rachuje, wypłaca, notuje na taśmie papierowej ilość wypłaconych monet i te same liczby pokazuje w okienkach tak dla kasyera jak i odbiorcy, odznacza się nader prostą budową. Jest prawdziwą chlubą p. Jana Planeckiego, że tak trudny problem praktycznie rozwiązał.

Pierwszy model aparatu opracowano w pracowni mechanicznej p. Augusta Golcha w Krakowie, któremu za staranne wykonanie wynalazku zgromadzeni inżynierowie wyrazili uznanie.

Przewodniczący zebrania techników podziękował p. inż. Drobniakowi, że odczytem swym sprawił miłą niespodziankę zgromadzonym, p. Planeckiemu, że dokonał wynalazku prawdziwie wielkiego, który od nas z Krakowa, z naszej ziemi polskiej rozejdzie się po całym świecie i życzył dobrego sfinansowania wynalazku.

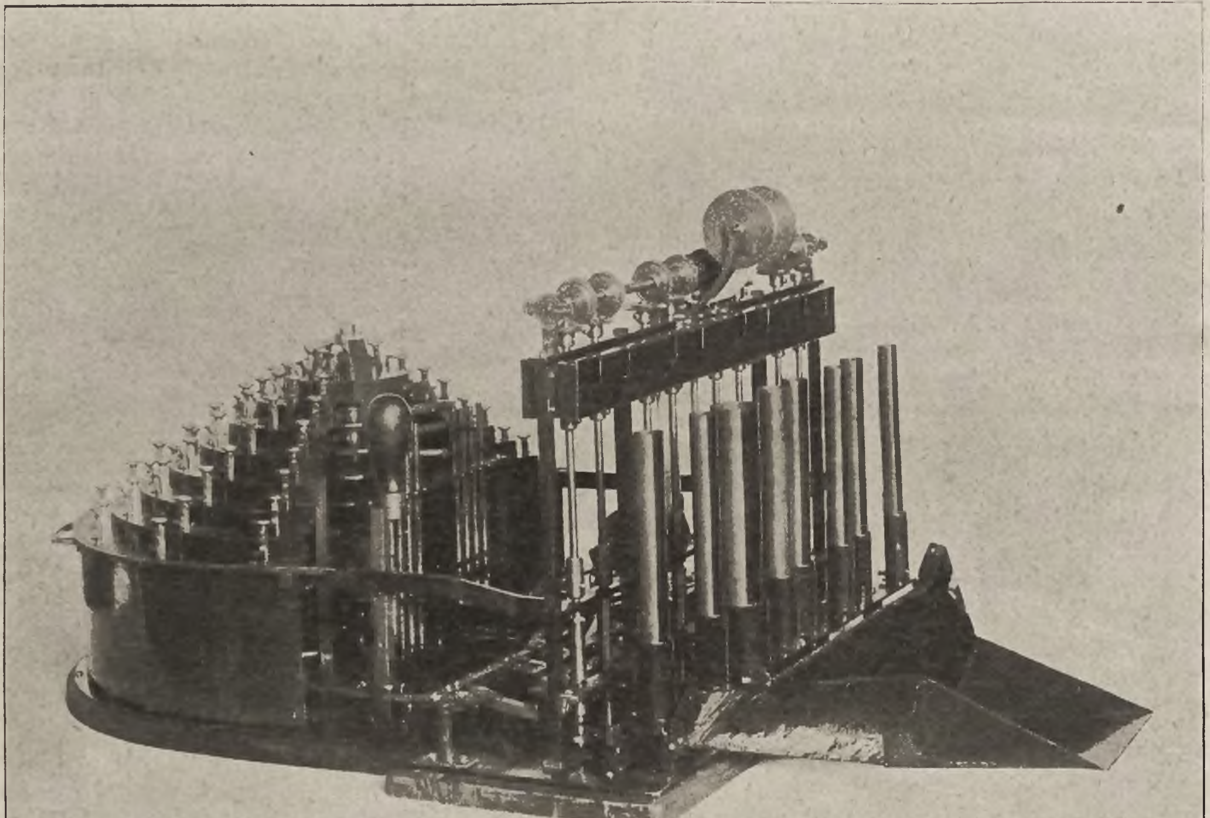
Zagadkowy zamach.

Z końcem ubiegłego tygodnia wydarzył się w Wiedniu wypadek, który zaniepokoił nadzwyczajnie



Zamach na wicekróla Indyj: Karol Minto, wicekról Indyj.

opinię publiczną, przypominając bardzo podobne zdarzenie z wieków średnich, kiedy to trucizna i sztylet skrytobójczy święciły swe tryumfy. Kilkunastu oficerów austryackiego sztabu generalnego, stacyo-



Wynalazek Krakowianina: Aparat do wydawania pieniędzy, wynalazku prof. Jana Planeckiego.

nowanych już to we Wiedniu, już to na prowincyi. otrzymało listy, podpisane przez jakiegoś pana *Charles Francis*, zachwalające znakomite pigułki na wzmocnienie nerwów. Do każdego listu dołączone było pudełeczko, w którem znajdowało się kilkanaście pigułek. Wszyscy odbiorcy są absolwentami szkoły wojennej z jednego roku i dopiero przed kilku tygodniami wcieleni zostali do generalnego sztabu.

Jeden z nich, kapitan Ryszard Mader, uchodzący za nadzwyczaj zdolnego oficera i awansowany



Zagadkowy zamach: Zmarły we Wiedniu tragiczną śmiercią kapitan sztabu gener. Ryszard Mader.

„poza turą“, spożył nadesłaną pigułkę i po kilku sekundach padł martwy. Sekcya zwłok wykazała w wnętrznościach obfitą dawkę sinku potasu. Rozpoczęto dochodzenia i przekonano się, że wszystkie pigułki zawierały tę straszną trucizne w takiej ilości, iż każda z nich musiała spowodować natychmiastową śmierć. Kapitan Mader znany był i w Krakowie, gdzie niedawno odbywał służbę wojskową.

Kto był sprawcą karygodnego czynu, dotąd nie wiadomo. Śledztwo wojskowe i policyjne, toczące się nader energicznie, nie wpadło dotąd na żadne konkretne poszlaki.

Irredenta włoska.

Pogranicze włosko-austryackie nie od dziś stanowi troskę dyplomacyi austryackiej. Trójprzymierze, wiążące dwa te sąsiednie państwa, jest tylko wyrazem poglądów sfer urzędowych i rządowych włoskich, stoi zaś w jaskrawej sprzeczności z ideałami narodu włoskiego, patrzącego tęsknem okiem na południowe ziemie Austryi, na ziemie, które zamieszkane są przez Włochów. Prądy te, nurtujące Włochów po obu stronach pogranicza mieszkających, znane są pod nazwą irredenty włoskiej.

Uczuciom irredentystów dał niedawno drastyczny wyraz generał Asinari, komendant trzeciego korpusu armii włoskiej, jeden z najzdolniejszych oficerów. Wygłaszając mowę podczas uroczystości wręczenia jednemu ze swych pułków chorągwi, wskazał on na ziemie włoskie, położone za granicą, na ziemie użyźnione krwią ludu włoskiego, jako oczekujące niecierpliwie godziny wybawienia.

Ta niedwuznaczna aluzya spowodowała niezwłoczne spensyonowanie generała Asinariego, co jednak bynajmniej nie załatwiło sprawy. Słowa bowiem tego generała są rzeczywistem odbiciem uczuć i myśli całego narodu włoskiego a usunięcie jednego generała nie zmieni ich wcale.

Wynika stąd, iż Austrya powinna bacznie patrzeć w stronę Włoch i zabezpieczyć się przeciw ewentualnym przykrym niespodziankom.

Egzamin arcyksięcia.

W ubiegłym tygodniu zdawał w Krakowie arcyksiąże Karol Stefan z Żywca przed specyalną komisyą egzamin na kierownika automobilu.

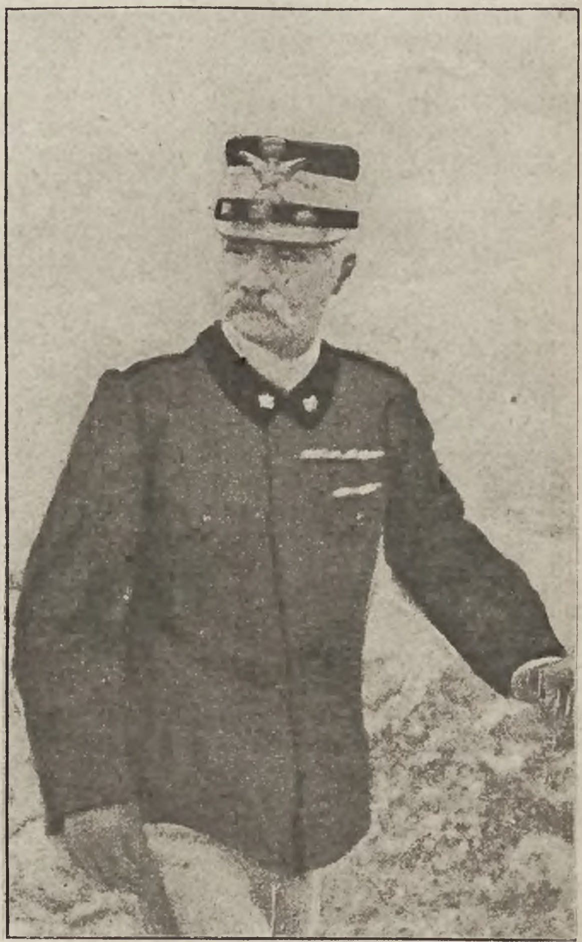
Arcyksiąże Karol Stefan chciał dopełnić formalności, przepisanej nową ustawą o ruchu automobilowym i poddał się egzaminowi, mimo że już od dawna jest doskonałym i pewnym kierownikiem automobilu. Dość powiedzieć, że przy częstych podróżach automobilem do Wiednia niejednokrotnie już sam chwytał za kierownicę i prowadził automobil z zadziwiającą pewnością i wprawą.

Poddanie się egzaminowi było formalnością, ale złożenie tego egzaminu przed polską komisyą egzaminacyjną było jeszcze jednym z dowodów, jak silnymi są węzły, wiążące pana zamku żywieckiego z naszem społeczeństwem, które też słusznie odnosi się doń z największą sympatyą, bo umie on przy każdej sposobności dać dowód swej ku nam życzliwości.

Z życia w niespokojnych Atenach.

Żołnierze greccy nie mogą nie pozostawać pod wpływem wrzenia, szerzącego się w korpusie oficerskim. Że wpływ ten musi być jak najbardziej demoralizującym, nie ulega wątpliwości. Dowodem tego był choćby wybuch rewolty w części greckiej marynarki wojennej, dowodem tego są nowe objawy niezadowolenia, obejmującego coraz to liczniejsze szeregi podoficerów.

W takich warunkach nie może być mowy o za-



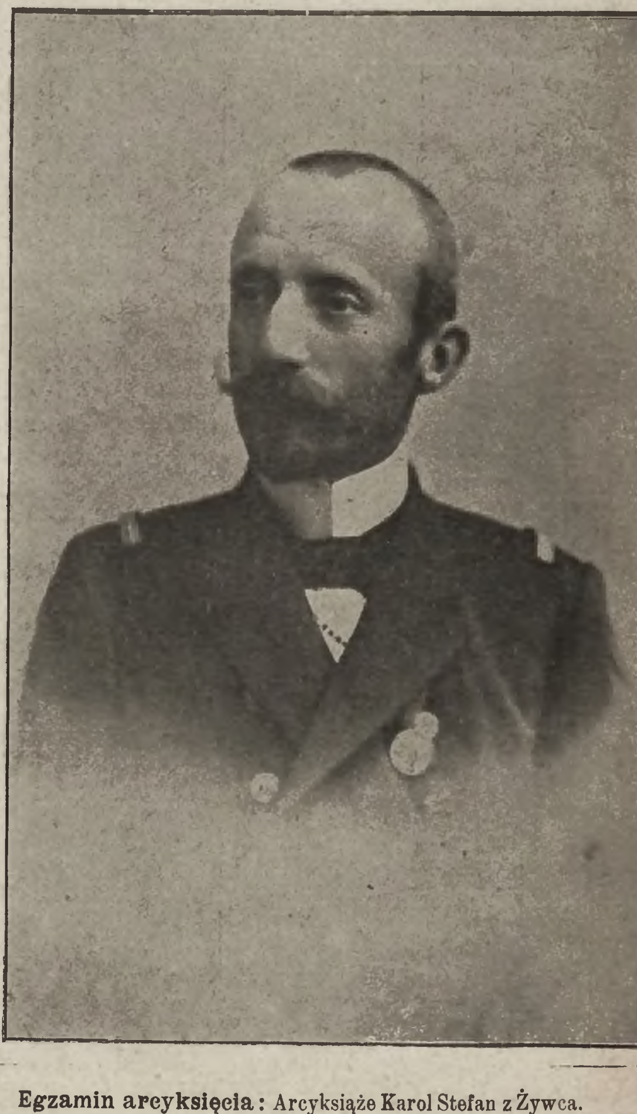
Irredenta włoska: Generał Asinari.

chowaniu dyscypliny, koniecznej dla utrzymania powagi armii.

Jak problematyczną rzeczą jest w armii szanowanie i przestrzeganie przepisów regulaminu, jest choćby fakt, że żołnierz w służbie pozwala sobie zdjąć buty i czekać, aż mu je szewc, „urzędujący“ na ulicy, naprawi. Jest to już zbyt wielkie lekceważenie sobie służby i obowiązków, na które odwa-



Z życia w niespokojnych Atenach: Policyant w służbie, czekający na naprawę buta przez szewca ulicznego.



Egzamin arcyksięcia: Arcyksiąże Karol Stefan z Żywca.

żyć się może żołnierz tylko wówczas, gdy widzi, że i starszyzna nie wiele sobie robi z regulaminu wojskowego.

Można sobie wyobrazić, jak wygląda służba bezpieczeństwa publicznego w Atenach, gdy nawet policyant, pełniący służbę, zdejmuje buty i czeka, aż mu je szewc uliczny naprawi, jak to przedstawia nasza fotografia!

Aresztowanie warszawskiego włamywacza.

Zarządzone przez warszawską policyę śledczą poszukiwania świętokradców, którzy ograbili klasztor Jasnogórski, naprowadziły na trop winnych okradzenia lombardu przy ul. Chłodnej w Warszawie, dokonanego w połowie września r. b., na sumę około 30.000 rubli. Oto podczas rewizyi przy Janie Badyńskim, aresztowanym przed kilkunastu dniami w Wawrze razem z Ignacym Brodzkim, podejrzanym o udział w kradzieży częstochowskiej, znaleziono przy nim zegarek. Po numerze policya śledcza doszła, że pochodzi on z lombardu Elblingera. Nadto znaleziono na nim i marynarkę, pochodzącą również z tego lombardu, a wobec tak oczywistych dowodów przyznał się Badyński do tej kradzieży, odmówił jednak udzielenia wskazówek co do losów kosztowności, skradzionych wówczas w lombardzie i wymienienia wspólników.



Aresztowanie warszawskiego włamywacza: Jan Badyński.

Jedynie agenci policyi, dokonywujący w dalszym ciągu rewizyi przy Brodzkim, znaleźli u niego na palcach kilka pierścionków z literami, które Elblinger uznał jako pochodzące z jego lombardu, zaś u Ostrowiczowej, przyjaciółki B., aresztowanej w Częstochowie, znaleziono dewizkę złotą męską oraz pierścionek z szafirem, również pochodzące z lombardu Elblinga.

Badyński, dobrze znany policyi śledczej „włamywacz“, sprawca rozbicia i okradzenia kasy ogniotrwałej w magistracie warszawskim, oraz równie zuchwałego okradzenia kasy przy ul. Marszałkowskiej, ze wszystkimi szczegółami opowiedział o kradzieży w lombardzie.

Rozwiązanie zagadek z Nr 46.

Szarada: Jamajka.

Logogryf: Juliusz Słowacki.

Zagadka do przestawienia: Polegam, jak na Zawiszy.

Szarada: Panorama.

Zagadka geograficzna: Wiedeń, Lublana, Sokal, Praga, Zadar.

Szarada: Słońce.

Łamigłówka zgłoskowa: Cerwantes, Don Kichot.

Logogryf: Dzwon Zygmunta.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: L. Kalinowska Kołomyja, R. Obraczny Przemyśl, S. Lemański Kraków, O. Górkowa Chyrów, B. Michalec Kraków, F. Urban Kraków, A. Biliński Tarnopol, W. Ossowski Warszawa, W. Ostrowski Radom, M Świdzińska Łódź, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków Z. Groński Kraków, W. Lasocki Rogoźno, K. Łopatyński Stanisławów, M. Lachawiec Przemyśl, D. Engelberg Tarnów, S Obmińska Warszawa, R. Kratochwil Cieszyn, K. Bernatowicz Rzeszów, M. Linderski Krosno, J. Kinalski Kołomyja, H. Josse Żabno, J. Buczyński Podwołoczyska, F. Schmidt Stanisławów, J. Opaliński Sandomierz, G. Świrski Radomyśl, W. Rogalski Zaleszczyki, J. Wolski Kraków, S. Bielawski Kraków, K. Lemański Warszawa, K. Steuermann Warszawa, S. Topolnicka Rzeszów, M. Rybicka Lwów, J. Antosz Rzeszów, K. Barnat Brzeżany, J. Stępień Lwów, J. Wojciechowski Kraków, Z. Wiśniewski Rzeszów, S. Krupski Łódź, S. Sokołowski Tarnobrzeg, E. Dembiński Jasło, M. Mochnacki Koło, L. Solecki Kraków, W. Brzozowski Lisko, B. Grzesińska Kraków, K. Rożankowski Kraków, S. Bukowski Lwów, A. Maciejowska Stanisławów, Z. Dębowski Łódź, G. Gliński Kalisz, L. Rogoziński Kijów, J. Dębski Kołomyja, L. Bieńkowski Kraków, H. Zielińska Rzeszów, K. Borówka Stanisławów, W. Olszewski Śniatyn, M. Klappholz Rzeszów, M. Potocka Kraków, A. Berger Lwów, J. Rotter Rzeszów, J. Nowacki Krosno, B. Orzechowski Przemyśl, J. Wolski Kraków, S. Bielawski Kraków, C. Kozłowski Warszawa, A. Bernady Wola Radziszewska, Etel Lwów, J. Mardanowicz Kolomyja, K. Fuchs Czeremchów, T. Ablowa Lwów, A. Bocsoń Bóbrka.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Bukowski Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

MAURYCY LEBLANC.

WYDRĄŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

12 (Ciąg dalszy).

Nie dosyć wzbudzić wiarę, lecz trzeba narzucić pewność. Lupin przewiduje mój udział. Odkryję kryptę i gdy ona będzie próżną, całe rusztowanie o jego śmierci runie. Krypta nie będzie próżną! Również i śmierć panny de Saint-Veran nie będzie stwierdzona, dopóki morze nie wyrzuci jej zwłok. Morze wyrzuci zwłoki panny de Saint-Veran. Trudność jest wielka. Podwójna przeszkoda, prawie nie do przezwyciężenia. Tak, dla każdego, lecz nie dla Lupina... Stało się, jak przewidział, odkryłem kryptę i zszedłem do nory, w której ukrył się Lupin. Ciało jego jest tam.

Ktokolwiek uznał śmierć Lupina za możliwą, został zawiedziony. Ani na chwilę jedną nie przypuszczałem tej ewentualności (z początku przez intuicyę, następnie przez rozumowanie). Podstęp stał się daremny i wszystkie kombinacye mylnemi. Natychmiast powiedziałem sobie, że blok kamienny, strącony łopatą, był tam ułożony zupełnie świadomie i z wyliczeniem prawie matematycznem, tak aby przy najlżejszem trąceniu spadł i padając, zmiażdżył doszczętnie głowę mniemanego Arseniusza Lupina; w ten sposób nie można będzie stwierdzić tożsamości jego osoby. Inne odkrycie. W pół godziny potem dowiaduję się, że na skałach morskich w Dieppe znaleziono zwłoki panny de Saint-Veran, a raczej zwłoki osoby, uznanej za pannę de Saint-Veran z tej tylko racyi, iż na prawej ręce była branzoleta, jaką nosiła siostrzenica hrabiego de Gesvres. Jest to jedyny dowód tożsamości, gdyż zwłoki są zupełnie zmienione. Kilka dni przedtem przeczytałem w jednym z numerów dziennika *Vigie*, że młode małżeństwo amerykańskie, mieszkające w Envermeu, otruło się dobrowolnie i że w noc ich śmierci zwłoki ich zginęły. Udałem się do Envermeu. Fakt ten jest prawdziwy, powiedziano mi, z wyjątkiem tylko zniknięcia zwłok, gdyż bracia ofiar zgłosili się po nie i zabrali z sobą po załatwieniu urzędowych formalności. Bracia ci nazywają się bez najmniejszej wątpliwości Arseniusz Lupin i towarzysze. Fakt jest stwierdzony. Znamy powody, dla których Lupin udał śmierć młodej panny i starał się o rozgłoszenie własnej. Kocha i nie chce, by o tem wiedziano. A by nie wiedziano, nie cofa się przed niczem, posuwa się nawet do tej nieprawdopodobnej kradzieży zwłok, potrzebnych mu do podstawienia ich na swe miejsce i na miejsce panny de Saint-Veran. Teraz będzie spokojny. Nic go nie może niepokoić. Nikt nie będzie domyślał się prawdy, którą chce zatrzeć.

Nikt? Tak... Ma trzech przeciwników, którzyby mogli mieć pewne wątpliwości: Ganimard, którego przybycie jest spodziewane, Sherlock Holmes, udający się na wezwanie pana de Gesvres i ja na miejscu. Podwójne niebezpieczeństwo. Usuwa je. Porywa Ganimarda. Porywa Sherlocka Holmesa. Mnie zadaje za pomocą Bredouxa cios nożem.

Pozostaje jeszcze jeden ciemny punkt. Dlaczego Lupin z taką zawziętością stara się skraść mi dokument Igły wydrążonej? Nie miał jednak pretensyi, by zgładzić z mej pamięci tekst pięciu linii, które zawierał ten papier. A więc dlaczego? Czyż obawiał się, że sam ten papier, lub jaka na nim oznaka, dostarczy mi pewnych wskazówek? Jakkolwiekby się wydawało, tak się przedstawia w prawdziwem świetle sprawa w Ambrumesy. Powtarzam, że hipoteza gra w mem wyjaśnieniu pewną rolę, jak również i grała w mych osobistych badaniach. Jeżeliby jednak chciał kto dowodów i faktów, narażałby się na to, iż czekałby ciągle, albo też odkryłby takie fakty, przygotowane umyślnie przez Lupina, które doprowadziłyby go do wręcz przeciwnego celu. Ufam, iż gdy wszystkie fakty będą poznane, pod każdym względem potwierdzą mą hipotezę“.

Tak więc Izydor Beautrelet, pokonany na chwilę przez Arseniusza Lupina, przestraszony groźbą porwania swego ojca i zdecydowany na porażkę, nie mógł jednak ostatecznie zgodzić się na zachowanie milczenia. Prawda była zbyt piękną i pociągającą, dowody, jakie dał, zbyt logiczne i prawne, by miał wszystko przeinaczać. Świat cały oczekiwał jego wyjaśnień. Przemówił i dał je.

Wieczorem dnia, w którym ukazał się ten artykuł, dzienniki doniosły o porwaniu ojca Beautreleta. Izydor został zawiadomiony o tem o godzinie trzeciej po południu depeszą, wysłaną z Cherbourga.

V.

NA ŚLADZIE.

Był to dla młodego Beautreleta okrutny cios. Mimo iż przy ogłaszaniu swego artykułu był owładnięty jednem z tych nieodpartych pragnień, które każą zapominać o wszelkiej roztropności, w gruncie jednak rzeczy nie wierzył w możliwość porwania. Nie zaniedbał najmniejszego nawet środka ostrożności. Przyjaciele z Cherbourga nietylko mieli czuwać nad ojcem Beautreletem, lecz i pilnować wszystkich jego kroków, nie wypuszczać z domu samego, a nawet odczytywać przed wręczeniem mu wszelkie jego listy. Nie, nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Lupin udawał, Lupin, pragnąc zyskać na czasie, chciał nastraszyć swego przeciwnika. Cios więc ten był prawie niespodziewany i odczuwał go przez cały dzień boleśnie, zwłaszcza iż był jak ubezwładniony. Jedna go tylko myśl podtrzymywała, a mianowicie iż uda się tam, rozejrzy się sam we wszystkiem i stanie w zaczepnej pozycyi.

Wysłał depeszę do Cherbourga. Koło ósmej godziny znalazł się na dworcu św. Łazarza, a w kilka minut potem siedział już w kuryerskim pociągu. Dopiero w jaką godzinę potem, przeglądając machinalnie wieczorny dziennik, dowiedział się o sławnym liście Lupina, który był niejaką odpowiedzią na jego ranny artykuł.

„Szanowny Panie Redaktorze.

Mimo zupełnej niechęci, przyznać jednak muszę, iż moja skromna osoba, po której w czasach bohaterów nie zostałoby najmniejszego śladu, w naszej epoce mierności i pospolitości odrzyna się od ogólnego tła. Jest jednak granica, której niezdrowa ciekawość tłumów nie może przekroczyć bez narażenia się na zarzut nieszlachetności. Jeżeli nie uszanuje się murów życia prywatnego, gdzież obywatele mają szukać spokoju dla siebie?

Może padną te górne słowa o konieczności wyświetlenia prawdy! Daremny pretekst, o ile to mnie dotyczy, gdyż prawda jest znaną i ja się do wszystkiego otwarcie przyznaję. Tak, panna de Saint-Veran żyje. Tak, ja ją kocham i boleję bardzo, że nie zdobyłem so bie jej wzajemności. Tak, śledztwo młodego Beautreleta jest nieporównane w swej dokładności i ścisłości. Tak, jesteśmy w zgodzie, co do wszystkich punktów. Niema już żadnej tajemnicy, niema już żadnych zagadek. Lecz w takim razie?...

Dotknięty aż do głębokości swego serca, krwawiącego jeszcze najokrutniejszemi ranami moralnemi, żądam, aby nie oddawano na pastwę złośliwości motłochu mych najtajniejszych uczuć i mych największych marzeń. Żądam pokoju, niezbędnego mi dla pozyskania życzliwości panny de Saint-Veran i dla zatarcia w jej pamięci tysiącznych zniewag, jakie musiała znosić od swego wuja i swej kuzynki, a to nie było powiedziane, jako uboga krewniaczka. Panna de Saint-Veran zapomni o tej przykrej przeszłości. Wszystko, czego tylko zapragnie, choćby to były największe skarby, złożę u jej stóp. Będzie szczęśliwą. Będzie mnie kochała. By jednak zdobyć to wszystko, powtarzam jeszcze raz, potrzebuję spokoju. Dlatego też składam swą broń i do nieprzyjaciół swych zwracam się z gałązką oliwną, jednocześnie jednak przestrzegając ich otwarcie, że wszelka odmowa może pociągnąć dla nich jak najgorsze skutki.

Jedno jeszcze słowo chcę dodać o panu Harlingtonie. Pod tem nazwiskiem ukrywa się najzacniejszy człowiek, sekretarz milionera amerykańskiego Cooleya, który mu powierzył nabywanie w Europie wszelkiego rodzaju dzieł sztuki. Nieszczęście chciało, iż poznał się on z mym przyjacielem, Stefanem de Vaudreix, alias Arseniuszem Lupinem, alias ze mną. Dowiedział się on przytem, co zresztą było nieprawdą, iż niejaki pan de Gesvres chce pozbyć się czterech Rubensów, ale pod tym warunkiem, by zostały one zastąpione kopiami i by sprzedaż ta pozostała w tajemnicy. Mój przyjaciel Vaudreix podjął się również nakłonienia pana de Gesvres do sprzedania i starożytnej kaplicy. Pertraktacye ciągnęły się z najzupełniej dobrą wiarą pana Harlingtona aż do chwili, w której Rubensy i rzeźby z kaplicy znalazły się w bezpiecznem miejscu... a kupiec ich w więzieniu. Nie pozostaje więc nic innego, jak tylko uwolnić nieszczęśliwego Amerykanina, który w tej komedyi odegrał rolę oszukanego, a napiętnować milionera Cooleya, który chcąc uniknąć koniecznych tłómaczeń i związanych z tem nieprzyjemności, nie zaprotestował przeciw aresztowaniu swego sekretarza. Jednocześnie można powinszować i memu przyjacielowi, Stefanowi de Vaudreix, czyli mnie, ponieważ pomściłem moralność publiczną, zachowując sto tysięcy franków, jakie otrzymałem z góry od tego mało sympatycznego Cooleya.

Proszę, kochany Redaktorze, wybaczyć mi rozwlekłość tego listu i przyjąć wyrazy najgłębszego poważania *Arseniusz Lupin*.

Izydor rozważał zapewne słowa tego listu z taką drobiazgowością, z jaką studyował i dokument Wy-

drążonej Igły. Wychodził on z tego założenia, którego słuszność łatwo można wykazać, iż Lupin wówczas tylko trudził się pisaniem listów do redakcyi, gdy go zmuszała do tego jakaś konieczność, jakaś przyczyna, którą następnie wyświetlały dopiero dalsze wypadki. Co go skłoniło do tego listu? Dlaczego tak jawnie wyznawał swą miłość i niepowodzenie w niej? Czy spowodowało go do tego to uczucie, czy też tłómaczenia, odnoszące się do Harlingtona, czy wreszcie pobudek tego czynu należało szukać między wierszami, poza temi wszystkiemi słowami, które na celu może miały nie co innego, jak poddać tylko jaką złą, zdradziecką, podstępną myśl?...

Zamknięty w swym przedziale młody człowiek długie godziny pozostał zamyślony i niespokojny. List ten wzbudzał w nim nieufność, jakby był pisany umyślnie dla niego i jakby jego właśnie miał wprowadzić w błąd. Po raz pierwszy też doznawał wyraźnego uczucia strachu, czuł się bowiem nietylko wystawionym na nowy atak, lecz oplątanym całą siecią tajemnych podstępów. Rozmyślając teraz o swym biednym, starym ojcu, porwanym z jego winy, zastanawiał się, czy nie jest to prostem szaleństwem prowadzenie tego nierównego pojedynku. Czyż wynik nie był prawie pewny? Czyż z góry już Lupin nie był zwycięscą? Przelotne jednak było to przygnębienie. Gdy o godzinie szóstej rano wychodził ze swego przedziału, pokrzepiony kilkoma godzinami snu, pełny był wiary w swe siły.

Na dworcu oczekiwał go Froberval, urzędnik portu wojskowego, który dał schronienie jego ojcu: towarzyszyła mu córka Karolina, dziewczyna mniej więcej trzynastoletnia.

— I co? — zawołał Beautrelet.

Gdy w odpowiedzi Froberval zaczął wzdychać żałośnie, młody uczeń przerwał mu zaraz, poprowadził go do najbliższej cukierni, kazał podać kawy i nie dopuszczając najmniejszej dygresyi, przystąpił wprost do rzeczy.

— Mój ojciec nie został porwany, przecież to było niemożliwe?

— Niemożliwe! A jednak znikł.

— Kiedy?

— Nie wiemy tego.

— Jakto?

— Nie wiem tego. Ponieważ wczoraj rano o szóstej godzinie nie wyszedł od siebie, jak to zwykle czynił, zajrzałem do jego pokoju. I tam go nie było.

— Poprzedniego jednak dnia, przedwczoraj, był tam jeszcze?

— Był! Przedwczoraj nie opuszczał swego pokoju. Czuł się cokolwiek zmęczony. Karolina więc zaniosła mu w południe śniadanie, a o siódmej wieczorem obiad.

— A więc znikł on między siódmą godziną wieczorem przedwczoraj, a szóstą rano wczoraj?

— Tak, poprzedniej nocy. Tylko...

— Co, tylko?

— Tylko w nocy nie można wyjść z arsenału.

— A więc w takim razie nie wyszedł z niego?

— Niestety! Razem z towarzyszami przeszukałem skrupulatnie cały port.

— Musiał więc wyjść.

— I to niemożliwe! Wszystko jest pilnie strzeżone.

Beautrelet pomyślał chwilę, potem zapytał:

— Następnie?

— Następnie pobiegłem do zarządu i zawiadomiłem komisarza.

— Przyszedł on do pana?

— Tak, razem z jakimś sądownikiem. Szukano przez cały ranek i gdy zobaczyłem, że nie dochodzą do żadnego rezultatu i że niema już nadziei, zatelegrafowałem do pana.

— Czy łóżko było rozebrane?

— Nie.

— I pokój był w porządku?

— Tak. Znalazłem na zwykłem miejscu jego fajkę, tytoń i książkę, którą czytał. Książka nawet była założona tą małą pana fotografią.

— Niech pani pokaże.

Froberval podał mu fotografię. Beautrelet zdumiał się. Ujrzał się, jak z rękami w kieszeniach stoi na trawniku, otoczonym drzewami i staremi ruinami. Urzędnik dodał:

— Zapewne pan przysłał ojcu ostatnią swą fotografię. O, nawet z tyłu jest data... 3 kwietnia, nazwisko fotografa R. de Val i nazwa miasta, Lion... Lion-sur-Mer... — zdaje się.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły wyrazy o umieszczonem niżej znaczeniu. Początkowe ich głoski utworzą sprawę, którą obecnie zajmują się austryaccy politycy.

1)	A E P R Y	Sławny obecnie podróżnik.
2)	E E L O O R S T V	Były prez. Stan. Zjednocz.
3)	A I J K M O S Z	Hetman polski.
4)	A D D E R W	Imię męskie.
5)	A C I K Ł O S W	Poeta polski.
6)	B I I S	Ptak, czczony w Egipcie.
7)	I K L P S	Miasto w Saksonii.
8)	E O P Z	Bajkopisarz grecki.
9)	A E L O O N N P	Cesarz francuski.
10)	C E H I M N N O U	Nieprzyjaciel krokodyla.
11)	A E M R Z	Imię męskie.
12)	A A C G I L Y	Kraj koronny w Austryi.
13)	A A D E E K L N R S	Imię męskie.
14)	B D I I K Ń O R S Z	Poeta polski.
15)	C E I N N O T Y	Imię męskie.
16)	E G N S U	Nazwa panującego.
17)	A E O P R U	Część świata.
18)	D E N R T T Y	Miasto w Tyrolu.
19)	A O Ó P T W	Miasto w Królestwie Polskiem.
20)	A A A R S W W Z	Miasto w Królestwie Polskiem.
21)	B D E G N R U Y	Miasto w Szkocyi.

Szarada.

Ułożył E. Osadziński, Drohowyże.

Pierwszą, trzecią na twarzy niechętnie znosimy,
Drugą, trzecią u zwierząt na głowie widzimy,
Całość zaś na stołach dość często podają,
Gdyż je prawie wszyscy chętnie spożywają.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył T. J. Lwów.

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły znane polskie przysłowie:
Gobi, piece, ozon, nie, bąki, gąska, cel, dąłem.

Logogryf.

Ułożył T. J. Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Szereg środkowy, czytany z góry na dół, da nazwisko i imię współczesnego polskiego powieściopisarza.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Urzędnik francuski. 3. Instrument muzyczny. 4. Kraina nad morzem Bałtyckiem. 5. Wyspa na wybrzeżu Azyi Mniejszej. 6. Imię męskie zdrobniałe. 7. Miasto w Galicyi wschodniej. 8. Bajkopisarz niemiecki. 9. Spółgłoska. 10. Zaimek pytajny. 11. Przełożony plemienia w Arabii. 12. Przełożony klasztoru. 13. Miasto w Czechach. 14. Powieść Rodziewiczówny.

Szarada.

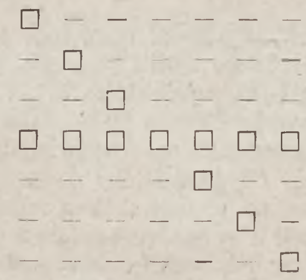
Ułożył H. A. Krupecki, Warszawa.

Weź pierwszą sylabę ze słowa całego
A otrzymasz nazwę człeka bogatego,
I gdy on z pompą przez ulice kroczy,
Niejeden ze zawiścią zwraca nań swe oczy
I rzecze: „Drugie pierwsze! Takim to być warta.
Jaka też jest u niego butna trzecia czwarta!“
Całość to przedstawienie wszystkim dobrze znane.
Na migi zawsze w teatrach grywane!

Kwadrat magiczny.

Ułożył K. J. Sokołowski, Śniatyn.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiednio literami, aby powstały wyrazy o podanem niżej znaczeniu. Litery umieszczone w miejsce kwadratów w kierunku ukośnym i poziomym, utworzą pseudonim zmarłej niedawno polskiej poetki.

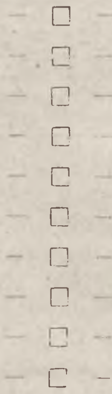


Znaczenie wyrazów: Duchowny mazułmański. 2. Szczyt w Tatrach. 3. Kraj koronny w Austryi. 4. Szukany wyraz. 5. Bohater jednego z utworów Słowackiego. 6. Inaczej gospoda. 7. Miasto we Włoszech, znane z łomów marmuru.

Logogryf chemiczny.

Ułożył W. Róniewicz, Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy, oznaczające pierwiastki chemiczne. (W ósmym rzędzie dwa pierwiastki). Środkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko słynnego alchemika w XIII. wieku.



Zgłoski: ar, bar, be, bid, cynk, erb, gon, ind, jod, ru, ryl, skand, terb, to, y, zło.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Henryka Sienkiewicza:* **Dwie łąki.**